



KWARTALNIK
42 BIULETYN
OTRYCKI

JESIEŃ - ZIMA
2021/22



BIULETYN OTRYCKI

Chata Socjologa

redaktorzy:
Gabriela Woźniak
Andrzej Grądzki

oprawa graficzna i skład tekstu:
Gabriela Woźniak

projekt okładki:
Gabriela Woźniak

biuletynotrycki@gmail.com

2022

SPIS TREŚCI:

OŚWIADCZENIE	4
WSTĘP	6
NIE ZAPOMNIJ MNIE	
ADOPCJE OTRYCKIE	10
STO DNI OTRYCKICH	14
WSZYSTKIE STWORZENIA DUŻE I MAŁE	22
„DALEKO OD KC. OPÓR SPOŁECZNY W BIESZCZADACH”	23
ARTYŚCI RUSZAJĄ W BIESZCZADY	
BIESZCZADY PO SEZONIE	26
WIERSZY	
• „BIESZCZADY. PRZYBLIŻENIA” TAO	29
• „NA OTRYCKIEJ WERANDZIE” TAO	31
• „PRYZMAT” SARA	32
OTRYCKI KRYMINAŁ W LISTOPADOWYM LESIE	34 51
PRZEPIŚNIK OTRYCKI	
CIASTO DROŻDŻOWE NA OTRYCIE	56
NALEWKI GROTMAMY	59
• IMBIRÓWKA 1	62
• JAŁOWCÓWKA	62
• PIOŁUNÓWKA 1	63
SPRAWY PRZESZŁE I PRZYSZŁE	
EPILOG	66
ATRAKCYJNE DRUŻYNY GASTRYCZNE	67
REMONTY W CHACIE	69
KOLEJNA PODRÓŻ W KOLEJNY ŚWIAT	72
„CZEMU TE RZECZY SIĘ NIE DZIEJĄ?”	74
OSOBISTY RADOSNY KOMENTARZ	80
MANIFEST ZIMOWY	81

OŚWIADCZENIE

Kiedy w 1985 r. wymyśliłem Biuletyn Otrycki i prowadziłem przez ileś tam numerów a następnie przekazałem innym, to nie byłem sobie w stanie wyobrazić, że kiedyś ponownie zadebiutuję w roli jego wydawcy czy też, jak kto woli, redaktora. Podejmując się po wielu latach przerwy prowadzenia biuletynu, uczyniłem to raczej z przypadku i pewnej konieczności. Dlatego też niemal od razu zacząłem rozglądać się za następcą i niemal od razu pomyślałem o Gabi Woźniak, osobie bardzo młodej ale wyjątkowo, moim zdaniem, nadającej się do tego zadania. Długo zastanawiałem się, w jaki sposób namówić ją najpierw do współpracy a potem samodzielnego wydawania biuletynu ale Gabi uprzedziła mnie informując, że chce się tym zająć. Swoją deklaracją sprawiła mi ogromną radość, radość wynikającą zarówno z tej niespodziewanej jednomyślności jak i ze względu na nią samą.

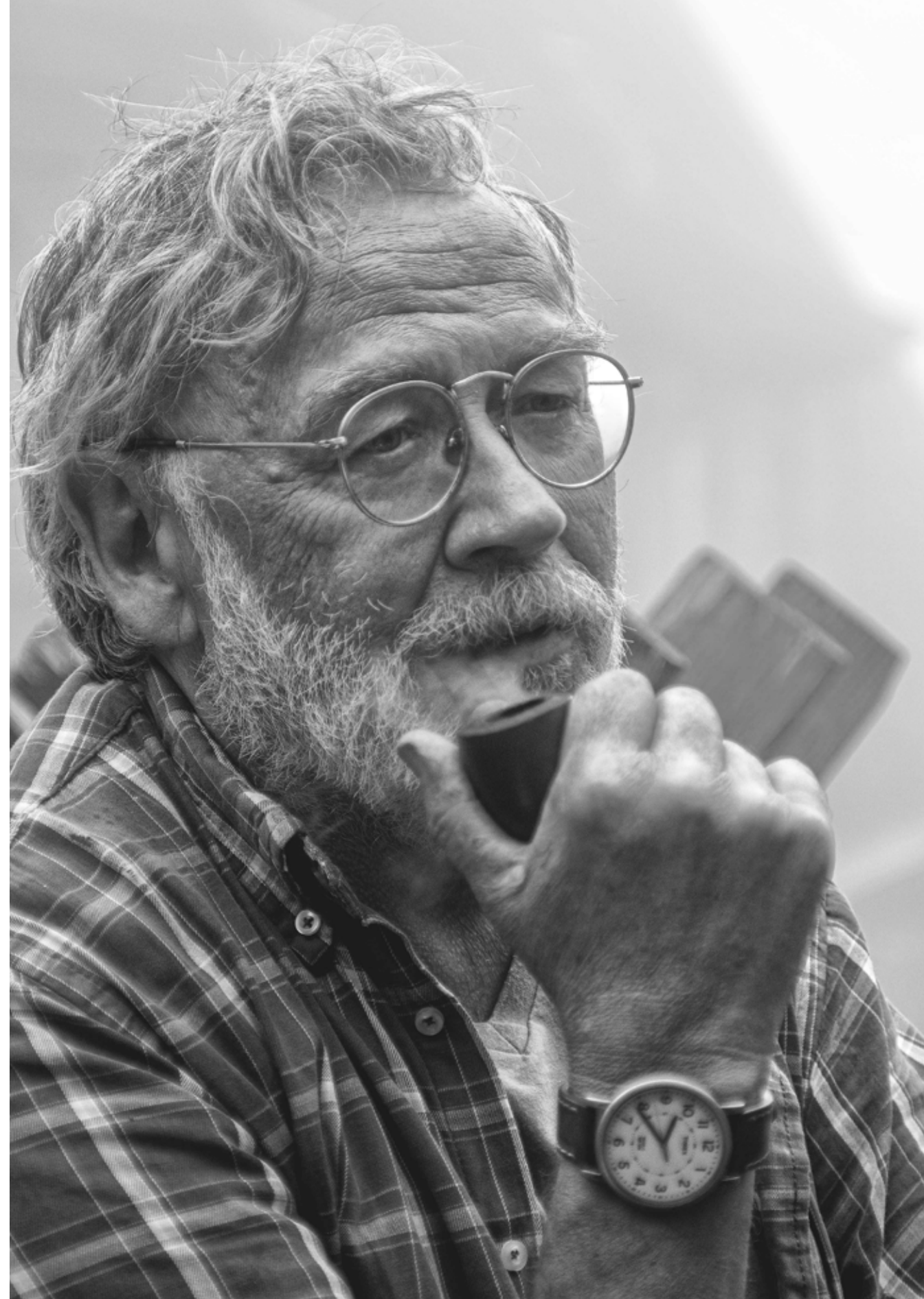
Gabi ma swój pomysł na biuletyn, pomysł który bardzo mi się podoba, pomysł ambitny i ciekawy. Warto poprzeć te zamierzenia a osoba Gabrysi, jej liczne talenty, niebanalne umiejętności a przede wszystkim pracowitość jeśli jeszcze nie gwarantują sukcesu, to bardzo go uprawdopodobniają. Istotne jest również to, że Biuletyn Otrycki wydawać będzie osoba bliżej związana ze Stowarzyszeniem Klub Otryckim jako pełnoprawny i aktywny członek.

Ze swej strony deklaruję całkowite i bezwarunkowe wsparcie w zrealizowaniu z sukcesem jej wizji Biuletynu Otryckiego – na każde żądanie redaktorki Gabrieli Woźniak.

ANDRZEJ GRĄDZKI

12.09.2021 r.

Walne Zebranie Członków Klubu Otryckiego





WSTĘP

36 lat później, 42 wydanie Biuletynu, 47 zima Chaty i moje, wręcz śmieszne przy tym, 19 lat. Patrząc z tej perspektywy, można by się poważnie zastanawiać nad słusnością czy wystarczającym doświadczeniem (redaktorskim, Chatowym i życiowym) osoby jak ja, w tym miejscu i czasie. Przyznaję się otwarcie, że sama mam związane z tym obawy. Mimo wszystko, a może przede wszystkim dlatego, zdecydowałam się objąć prowadzenie Biuletyn Otryckiego.

Powodów i osób, które mnie do tego przekonały i zachęciły, jest wiele. Gdybym jednak miała odpowiedzieć, co i dlaczego tu robię, to winą obarczyłabym jedynie autora słów na poprzedniej stronie. Co tu dużo mówić – mój przyjaciel, towarzysz porannej kawy, wieczornej banieczki, wielu papierosów i mniej lub bardziej poważnych, wielogodzinnych rozmów. Wreszcie też najukochańszy Dziadek Otrycki – Andrzej Grądzki. Nie tylko twórca i pierwszy wydawca Biuletynu, ale przede wszystkim niezły kombinator, który przyczynił się do tego, że mój dom jest na Otrycie a Otryt w domu.

Mogę śmiało przyznać, że Chata po części mnie wychowała. To Ona okazała się celem mojej pierwszej samodzielnej podróży w wieku głupich 16 lat. Odnalazłam tu część siebie, chyba tą ulubioną, poznałam prawdziwych przyjaciół, przeżyłam chwile pełne radości, miłości, spokoju, ale i zagubień, rozchwiań, rozczarowań czy też. Ciężko mi inaczej nazwać to miejsce niżeli Domem, a poznanych tam ludzi Rodziną. Nieraz chciałam też po prostu wyjść i nigdy nie wrócić. Szczerze jednak wierzę, że zawsze będę wracać i częściej się witać niż żegnać.

Nie rozpisując się już, przedstawiam Wam, – czytelnikom dawnego Biuletynu i tym najnowszemu – co znajdziecie na kolejnych stronach oraz w następnych wydaniach. Postanowiłam zrezygnować z "nieregularnika" i przekształcić Biuletyn w kwartalnik. Ponadto całość została poszerzona o różnorodnej treści materiały związane z Chatą i osobami jej bliskimi. Oczywiście nie zmieni się główne zadanie Biuletynu – informowanie o tym, co dzieje się na Otrycie i w Klubie Otryckim. A także, cytując AG:

BO nr 1, rok 1985

"Biuletyn jest otwarty również dla różnego rodzaju twórczość (...)

Nie tylko dla twórczości – każdy z nas ma prawo wyrazić w Biuletynie każdą opinię na każdy temat otrycki.

I tyle w dużym skrócie.

Czekamy na odzew.

Czekamy na współpracowników."

GABRIELA WOŹNIAK (GABI)
20.02.2022

fot. Gabriela Woźniak

NIE ZAPOMNIJ MNIE



ADOPCJE OTRYCKIE

ANDRZEJ GRĄDZKI

Jesienią 2021 r. osoby aktywne w grupie „Otryckie dyskusje” omówiły w trakcie jednego z cowtorkowych spotkań tekst prezentowany poniżej. Autor jest do tego stopnia zdziwiony licznymi pochwałami i zainteresowaniem, że nie bardzo może w nie do dzisiaj uwierzyć. Publikacja w BO jest więc swego rodzaju weryfikacją, przypomnieniem i – oczywiście – zaproszeniem do dyskusji.

Nie uczestniczyłem w ostatnim wtorkowym spotkaniu i do połowy grudnia raczej nie będę mógł spotykać się online „na grupie”, w tym czasie jestem na dworcu i w pociągu – nie jest to więc problem techniczny bo z tym łatwo sobie poradzić ale nie chcę łączyć się w miejscach publicznych, w obecności być może obcych ludzi. Prywatność – tylko tyle.

Zawsze po wtorkowych spotkaniach proszę Ewę by mi zrelacjonowała treść spotkań, Ewa bardzo rzeczowo i konkretnie mi to wszystko streszcza a ja po prostu jej ufam.

Na ostatnim spotkaniu Ewa powiedziała o moim pomysłach dotyczącym „adopcji” i chyba tylko Marcin zwrócił uwagę na cudzysłowy i zrozumiał tę moją propozycję. (Marcin! - ja czułem i czuję to samo).

„Adopcja otrycka” to coś co realizuje np. Baltazar, tak! właśnie on, aktualny Gospodarz Chaty, robi to od kiedy objął tę zaszczytną funkcję. Wiem to od niego ale przede wszystkim z obserwacji, z rozmów z otrycką młodzieżą. Baltazar wbrew pozorom na wiele im pozwala, potrafi być opiekuńczy i troskliwy, on ich po prostu faworyzuje. Co ciekawe, pomysłem adoptowania podzieliłem się z nim nie tak dawno a on od razu wybrał sobie obiekt adopcji i wybrał, jak sądzę, trafnie. I to właśnie Baltazar powiedział mi gdy odnowiłem mój kontakt z Otrytem, że dzieciaki są fantastyczne. Sprawdziłem i potwierdzam.

„Adopcja otrycka” to coś co kiedyś – nie nazwane w ten sposób – funkcjonowało.

Jakieś dowody? Może cytacik? Proszę bardzo:

Biuletyn Starootrycki, październik 2001 r.

„(...) I teraz siedzę u Kaśki w biurze w Poznaniu, środek nocy, popielniczka już prawie pełna, partyjna kawa, gorzała, czekolada na zagrychę. Malutki, ten mój wypieszczony, wychuchany onegdajszy protegowany postanowił też nie spać i z Warszawy, zdalnie sprawdza, kontroluje postępy pracy i ma rację(...).”

Nie będę opisywał na czym polegało to „chuchanie i dopieszczanie” a przypominałem sobie o tym przypadkiem w Chacie przeglądając numer BO na 40-lecie w wersji papierowej. Wersji elektronicznej nie ma – cytatu nie będzie a szkoda.

Może jeszcze coś? Służę kolejnym cytatem:

BO nr 37, rok 2006

„(...) pojawił się ktoś, kto kiedyś, dawno temu zaproponował mi wyjazd na Otryt na obóz zimowy. Można powiedzieć - główny winowajca. (...) Mam nieuleczalną słabość do Szczupłego – sentyment, który sam Szczupły może wyśmiać, wyśmiać w swój szczupakowski niepowtarzalny sposób. I bardzo chciałbym te jego kpinki usłyszeć. Szczupły i Henryk to moi otryccy ojco-

wie. (do licha brzmi to strasznie – ale tak po prostu jest)”

Tak, tak, to mnie dotyczy. Mnie sprzed kilkadziesiąt lat. I nie będę się rozpisywał na czym ta „adopcja” polegała, w każdym razie czułem się „zaopiekowany”, przez obydwu i każdy z nich robił to na swój sposób. Jeden z nich, ten oschły złośliwiec miał w sobie naprawdę sporo empatii drugi zaś również ogromny urok.

Cytat poniżej ma już 36 lat i wbrew pozorom dotyczy tematu adopcji; byłem przy tym i wiem co mówię i piszę, Szczupły miał dobry pomysł ale najpierw dobrze poznał Jarka i Artura, potem pomagał zarówno jednemu jak i drugiemu i nie tylko on.

BO nr 8, rok 1985

„Jerzy Szczupaczyński zaproponował w imieniu Rady Otryckiej dwie kandydatury: Jarka Frąckowiaka i Artura Grudzińskiego na Prezesa Klubu. Stwierdził jednocześnie że obydwie kandydatury stanowiły burzliwy temat obrad Rady Otryckiej, która zdecydowała, że zaistniał czas i możliwość oraz konieczność postawienia wreszcie na ludzi młodych, którzy prowadziliby Klub przez kilka lat.”

I tu pewna refleksja. Na ostatnim Walnym Zebraniu Stowarzyszenia Klub Otrycki dopiero co przyjęta do klubu Daria sama zgłosiła swoją kandydaturę do Rady Otryckiej. Razem z Ewą uczestniczyliśmy w obradach biernie, jako obserwatorzy, chociaż Kometa odczytała moje oświadczenie dotyczące jednej z kandydatek. Szkoda, że Daria przepadła w głosowaniu ale to moja prywatna opinia.

Jeszcze coś prywatnego:

(cytat z maila ode mnie do Wnuczki, 2021-07-27)

„(...) nawet nie wiesz jak bardzo ucieszyłem się z Twojego zainteresowania biuletynem i Twoimi planami. Od jakiegoś czasu zastanawiam się w jaki sposób zaproponować Ci współpracę a nawet kierowanie tym przedsięwzięciem. I o, stało się, samo z siebie, lepiej niż mógłbym sobie wymarzyć.”

„Ucieszyłem się” – to delikatnie powiedziane. Słowo „radość” jest bardziej odpowiednie. Tak, mam Otrycką Wnuczkę, zresztą to ona sama nazwała mnie pierwsza Dziadkiem. Miałem niemałą frajdę gdy przedstawiałem Wnuczkę swojej rodzo-



nej córce – „Olga, poznaj moją wnuczkę” (a obie mnie potem bezlitośnie wykpiły).

Mam też siostry otryckie – jedną starszą a drugą młodszą ode mnie i chociaż nigdy się do nich nie odezwałem per „siostra” to są dla mnie jak siostry. I mam chyba jeszcze jedną Wnuczkę, smsujemy do siebie, mmsujemy też. To dla mnie cenny kontakt i mam nadzieję, że dla niej również.

Cytat najważniejszy bo najświeższy, z bieżącego roku:

BO nr 39, rok 2021

„15 maja w Chacie spotkałam drużynę Jagódki i Jonasza, kapitalnych młodych ludzi, którzy właśnie wpadli na weekend, by zająć się izolacją Cha-ty i jej ociepleniem od spodu. Szaleli przez kilkanaście godzin w białych kombinezonach i maskach, bo kładli wełnę mineralną. Ich twarze zobaczyłam dopiero w nocy, gdy skończyli. Okazało się, że dwie osoby z tej ekipy to dziewczyny. (...) Byłoby cudownie, gdyby starszym Otrytczykom zechcieli w pracach nad Kliszkówką towarzyszyć młodzi, którzy tak spontanicznie wspierają Chatę. Bo miejsce to powinno być miejscem dyskusji, pracy twórczej, a po spełnieniu pewnych warunków czytelnią i biblioteką, ale też i dogodniejszym lokum dla osób z dziećmi lub dla schorowanych starszych Otrytczyków.

Innymi słowy, gdyby „dziadkowie” i „wnuczki” zechcieli stworzyć coś razem, to byłby to dom dla jednych i drugich, ale biologia sprawia, że młodzi i tak to niedługo ‘odziedziczą’.

Byłem wtedy z Ewą na Otrycie, pamiętam z jaką uwagą przyglądała się młodej ekipie a jeszcze przed wyjazdem mówiłem jej, że dzieciaki są fantastyczne i musi ich poznać ale nie spodziewałem się na co trafimy, byłem więc niesamowicie zadowolony z takiego zbiegu okoliczności – nasza wizyta oraz pobyt ekipy Jonasza i Jagódki.

W zacytowanym fragmencie widać przecież to, o co się wytkócam.

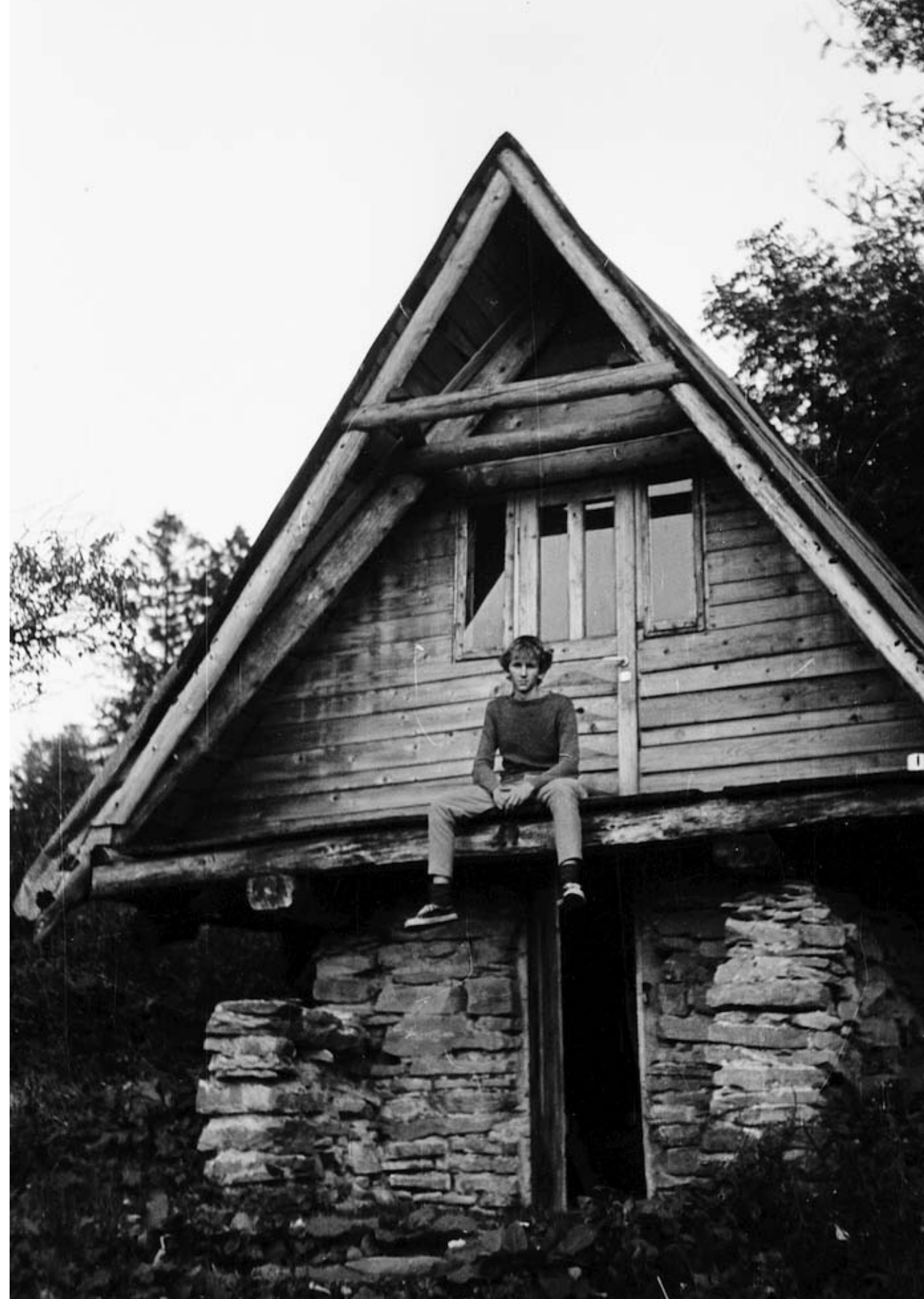
Jeśli ktoś sobie wyobraża, że jakaś komisja będzie przydzielać osoby do opieki to.....(wolałem wykropkować). Zagrożenie? To są całkiem niegłupie, to są mądre dzieciaki, to nie bezwolne kukły, plastelinowe wateczki, które można ulepić jak się komuś podoba. Nie Pinokio z drewna ani Kichuś majstra Lepigliny. Czasami wydają się zabawni ale ja też takim mogę się wydawać w ich oczach.

Może więc nieco więcej życzliwości i uważności, poważnego traktowania, jak partnerów tam na Górze, więcej słuchać a mniej nadawać. A poza Otrytem od czasu do czasu jakiś sms z dwoma słowami – co słychać.

Wystarczy. Jeśli ktoś nie chce przejmować się otrycką młodzieżą – to przecież nie musi. Tekst mi się rozrasta a nie chcę nikogo zanudzać. Polemistów uprzedzam – nie zużyłem całej amunicji.

Tamto miejsce, to jakim jest teraz, poznałem ostatnio raczej dobrze. Bieżący rok miałem dość skromny jeśli chodzi o moje wyjazdy na Otryt, było ich chyba siedem. W roku 2020 spędziłem tam w sumie prawie sześć miesięcy. Przelicytować mnie może chyba tylko Baltazar.

Jeśli ktoś doszuka się z mojej strony złośliwości – to nie przeproszam. Mam w zanadru tego więcej, takich bardziej jadowitych.



STO DNI OTRYCKICH

HENRYK DZIEWULSKI

Gdyby nie dość pospolity młodzieńczy pęd do drążenia ułomności tego świata wzmocniony już całkiem ekscentrycznym pragnieniem zbliżenia się do ludzi wstępujących na szlachetną służbę Wiedzy, nie sposób byłoby zrozumieć entuzjazmu z jakim w latach 1973-75 spędzałem niemal całe wakacje w dość bezładnej gromadzie budowniczych a potem też nie mniej przygodnych koneserów Chaty Socjologa, gdy była już gotowa. Równie niepojęte byłoby dzisiejsze snucie opowieści na kanwie tamtej okruszyny czasu, która się zagnieździła w żywotnych rejonach pamięci z niewyczerpaną mnogością skojarzeń zapraszających do coraz to nowych przybliżeń, domysłów, dopytań.

Chata powstała na otryckich wysokościach (860 m n.p.m.) jako autorski pomysł Henryka Kliszki. Szalony pomysł, który się zmateriałizował jako przystań dla wszystkich chętnych, aby tutaj cumować dla wytchnienia w dobrym towarzystwie, a w dodatku z wielką szansą zetknięcia się ze szczerymi poszukiwaczami perspektyw godnego życia gromadnego. Heniek był ode mnie starszy o 4 lata. Zrazu budził mój respekt jako „urzędujący” asystent w Instytucie Socjologii. Nie sposób było gdziekolwiek go zastać bez towarzystwa. Ze swym miękkim barytonem utrzymanym niewymuszenie w nienatarczywych rejestrach zawsze nieśpiesznej i nieskrępowanej wymowy wyróżniał się ujmującym wzięciem i gotowością podejmowania rozmowy z każdym kto się napatoczył. Dotyczyło to nawet nieopierzonych jak ja nowicjuszy, których nieco ponad miarę zachwycają rzeczy dość oczywiste dla choć trochę wtajemniczonych. Rychło stał się legendą nie tylko tego miejsca.

Był obdarzony niespożytą energią i nieby-

wałym talentem wynajdywania i skutecznego przekonywania kogo trzeba do tego by pod koniec trzeciej ćwierci XX wieku, u zarania gierkowskiej modernizacji jemu właśnie powierzyć urzeczywistnienie odrobiny wizji, którą uszczknął z XVII-wiecznej utopii i udrapował w czerwień wykreowanej przez Karola Marksa idei komunizmu jako wspólnoty wolnych wytwórców. Późniejsza inicjatywa wydawnicza (kwartalnik *Colloquia Communia*) dała dość jednoznaczny wskazówkę, że zapewne chodziło mu o enklawę autentycznej wspólnej rozmowy, ufundowaną na realnym spontanicznym współdziałaniu ludzi z krwi i kości zmagających się z oporem materii i niepodogdą. Szeroki front jego osobistych perswazyjnych zabiegów musiał objąć co najmniej trzy kręgi decydentów różnych szczebli. Na Uniwersytecie - politycznych żyrantów oddolnej inicjatywy i dysponentów rozmaitych funduszy organizacyjnych (na aprowizację kilku serii wakacyjnych obozów studenckich dla budowniczych ochotników). W Ministerstwie Rolnictwa i Leśnictwa - urzędników zdolnych skutecznie pilotować konkretne decyzje administracyjne (wydzielenie nieruchomości, pozwolenie na budowę). Wreszcie na miejscu w Bieszczadach - kierowników państwowych jednostek gospodarczych szafujących potrzebnymi zasobami materialnymi (tarcica, cement, środki transportu po górskich stromiznach).

Nie licząc Henryka i dość luźnego grona pozostałych animatorów tego karkołomnego przedsięwzięcia, których wówczas posądzałem (nieco na wyrost) o rozeznanie w szczegółach, skład osobowy pierwszych obozów nosił znamiona zbiegowiska wokół zaimprovizowanego happeningu. Były jednak istotne różnice. Przede wszystkim był to tylko początek serii zdarzeń rozciągniętych w czasie aż do śmierci Henryka 29 stycznia

2021 roku, czyli na przestrzeni bez mała 50 lat. No i nie było całkowitej przypadkowości uczestnictwa. W okolicach Chaty Socjologa krzyżowały się szlaki wędrowców dziesiątków, jeśli nie setek osób takich jak ja, szukających atrakcyjnego miejsca na spędzenie wakacji, jednakże - w połączeniu z wartością dodaną: obietnicą intelektualnej przygody, a nawet jeszcze czegoś w rodzaju duchowego wtajemniczenia. Otryt Górny to z natury rzeczy doskonały punkt bazowy na bieszczadzkie wycieczki. Nic dziwnego, że doceniłem to od razu tak jak wielu innych późniejszych wędrowców. Wartość dodana okazała się jednak wiele wyższa niż mogłem pierwotnie oczekiwać. Zupełnie niespodziewanie stał się dla mnie nobilitujący w tym sensie, że natychmiast pojawiło się niewyraźne przecucie - a potem już wyraźne poczucie - udziału w swoistej kontestacji dorosłego świata pozostawionego na nizinach.

Biorąc pod uwagę moją dzisiejszą wiedzę o tym co działo się w świecie w sferze nauki, kultury i szeroko pojętej ideowości przełomu lat 60-tych i 70-tych mogę zaryzykować tezę, że Klub Otrycki z Chatą Socjologa mógł być miejscem szczególnie atrakcyjnym dla tych niespokojnych, niskopiennych dusz, które wcześniej zostały chociaż trochę sfermentowane intelektualnym lub emocjonalnym zaczynem kontrkultury późnych lat 60-tych. Po grudniowym przełomie roku 1970 echa jej różnorodnych nurtów mogły silniej rozbrzmiewać nad

Wisłą dzięki dość narowistej, ale w jakiś sposób realnej swobodzie pierwszych lat rządów ekipy E. Gierka. Ożywione kontakty i szersza dostępność kraju dla zachodniej twórczości sprawiły, że śmielej niż kiedykolwiek przedtem poczęły docierać do intelektualnych środowisk rozmaite wątki studenckiego, artystycznego i intelektualnego fermentu. Niosły ze sobą rozmaite znaki sprzeciwu. Wobec moralnego zakłamania. Wobec instytucjonalnej opresji. Wobec niesprawiedliwości. Wobec wykluczenia. Lista przykładów owej alternatywnej, a-systemowej, a momentami anty-systemowej orientacji jest bardzo długa. Dość wspomnieć tylko niektóre klimaty. Woodstock 1969 (Santana, Hendrix, Joplin). Progresywny rock (Pink Floyd). Obyczajowość hippie. Ezoteryczny New Age. Duchowość Dalekiego Wschodu (krysznaici, Zen). Holenderskie enklawy wolności. Nowa lewica. Trzeba też dorzucić zarówno rodzime jak i docierające zza wschodniej granicy głosy niezależnych intelektualistów, bardów, dysydentów i emigrantów. Do wrażliwości środowisk akademickich chyba najszerszym strumieniem trafiało fascynujące piśmiennictwo, które nieubłaganie kruszyło nie tylko ortodoksyjny urzędowy marksizm, ale i kognitywny (kartezjański) paradygmat filozofowania i pozytywistycznej metodologii nauk. Dość wspomnieć Wittgensteina z jego uczipieniem się „zwykłości” i domeny użytkowania języka jako punktu oparcia filozofowania z sensem, czy Horkheimera z przemysłu-

fot. Andrzej Grądzki, 1982



niem na nowo sprawczego potencjału marksowskiej nadbudowy (szkoła frankfurcka), wreszcie niescientystyczne nurty socjologii z pnia filozofii analitycznej, lingwistyki i amerykańskiego pragmatyzmu – jak strukturalizm czy symboliczny interakcjonizm.

Rzecz jasna wszystkie te wątki krążyły hen w dalekiej przestrzeni artystycznej twórczości i intelektualnych wyczynów wielkiego świata odgródzone od polskich odbiorców barierą językową, mizerną dostępnością i kaprysami cenzury. Rewolucja cyfrowa z Internetem i błyskawicznym rozprzestrzenianiem informacji miała się dokonać dopiero za ponad 30 lat.

Tylko jakieś okruchy w postaci odręcznych notatek z wykładów, fiszek z lektur, tez zebrań naukowych i napomknień z prywatnych debat przy kawie miały szansę przykuć uwagę bywalców Chaty Socjologa i to pod warunkiem, że zaliczali się do niezbyt liczного grona dostatecznie wytrwałych poszukiwaczy prawdy czasu, którym trudno było się pojednać z zastaną rzeczywistością. Niejako dla porządku wypada zaznaczyć, że wszystkie te zawirowania alternatywnego myślenia tonęły w oceanie potocznej wiedzy zdroworoządkowej doskonale impregnowanej zarówno na fanaberie studentów, wydziwiania artystów i popisy intelektualistów jak i na bezczelność propagandy aplikowanej przez telewizję, radio i prasę. Wielkim nieobecny w tych naszych otryckich sferach – lub może obecnym tylko w utajeniu - była ideowość o nachyleniu konserwatywno-liberalnym bądź chrześcijańsko-narodowym dostępna w publicystyce Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa Jana Jeziorańskiego, programowym orędownictwie rządu emigracyjnego w Londynie lub eseistyce orbitującej wokół Instytutu Literackiego „Kultura” w Maisons-Laffittes Jerzego Giedroycia.

W sposób najbardziej bezpośredni i natychmiastowy musiały oczywiście oddziaływać odręczne ogłoszenia wywie-

szone jak zawsze na drzwiach wydziałowych budynków i pomieszczeń na Karowej i na Krakowskim Przedmieściu. Atrakcyjność afiliacji z nowo ukształtowanym kołem naukowym Instytutu Socjologii „pod wezwaniem” Klub Otrycki skutecznie wzmocniono obietnicą intelektualnej przygody i nieskrępowanej wymiany myśli. W domyśle było skosztowanie bliżej nieokreślonych owoców. Przypuszczalnie mocno deficytowych a miejscami może wręcz zakazanych. W połączeniu z atmosferą oddolnej inicjatywy sprzyjało to spontanicznemu skondensowaniu się wokół Chaty i Klubu dość gęstych oparów zalatujących kontrkulturą i alternatywnym teoretyzowaniem. Na przeciwstawnym biegunie przestrzeni dyskursu jeszcze wtedy tkwiła samotna ideologiczna ortodoksja PZPR. Jej zawartość wyczerpywał kanon marksizmu-leninizmu serwowany w mniej lub bardziej niechlujnej wykładni przez partyjny aparat propagandy, a jednoznacznym czynem wspierała cenzura zgodnie z taktycznymi potrzebami chwili lub pod presją nieustających walk toczonych przez koterie w łonie elit władzy. Trzeba tutaj koniecznie zaznaczyć, że przed końcem lat 70-tych słowo „opozycja” nie było używane w dzisiejszym znaczeniu, chyba że w kontekście historycznej narracji. W odniesieniu do realiów politycznych okresu wczesnego Gierka słowo opozycja kojarzyło się w pierwszej kolejności ze wskazywaniem na wewnątrzpartyjnych oponentów twardego kursu reprezentowanego przez koterię „twardogłowych”. Korzenie tej stale ewoluującej, ale mocno osadzonej grupy sięgały wstecz do dziedzictwa przedwojennej KPP, bliskiego linii stalinowskiej i ustrojowym wzorom państwa sowieckiego. Przeciwwagę stanowiła opozycja liberalnie usposobionych ludzi władzy (jak choćby Andrzej Werblan), którzy na ogół dość nieśmiało sięgali po rozmaite elementy tradycji ideowych PPS. Natomiast więźniowie władzy lat 60-tych jak Karol Modzelewski i Jacek Kuroń byli ikonami zradyzowanej opozycji wewnątrzpartyjnej. Dopiero w latach 80-tych dokonało

się skojarzenie tych radykalnych postaw dysydenckich z opozycją w dzisiejszym rozumieniu.

Przybywali zatem do Chaty Socjologa wszyscy chętni, których jakoś uwierały ideowe i ustrojowe realia PRL-u a obdarzeni pewną dozą docieklivej nadziei na prawdziwie sprawiedliwy ład zbiorowy, lub minimalistycznie - na socjalizm w lepszym wydaniu. Minimum erudycji było mile widziane. Jak na koszyckowym przyjęciu każdy częstował swoim specjałem: a to entuzjazmem dla jakiegoś wątku z właśnie w tym momencie katowanej przez siebie magisterki czy dysertacji, a to reminiscencją ze spektaklu Jerzego Grotowskiego albo z projekcji „Lotu nad Kukułczym Gniazdem” z tzw. konfrontacji filmowych (za cenę całonocnego stania w kolejce po karnet), a to zachwytem nad jakimś fragmentem „Czarodziejskiej Góry”, „Stu Lat Samotności” czy „Mistrza i Małgorzaty”, a to podziwem dla „Struktury Rewolucji Naukowych”. Z tej tkanki przygodnych rozmów pomiędzy przybyszami o składzie zmieniającym się z tygodnia na tydzień (a niekiedy nawet z dnia na dzień) nie należy wyłączać wątków niedowierzania dla Heńkowego zapału, gdy zdarzało mu się sprawiać wrażenie, że właśnie tutaj (na forum Klubu Otryckiego) i teraz (zaraz po tym jak naród powiedział Gierkowi: „Pomożemy”) usiłuje on pospołu z klubowiczami zawracać realny socjalizm wraz z jego rządzącą elitą ku autentycznym marksowskim źródłom pra-komunizmu.

Po takiej aneksji wcale pokaźnej polany na bieszczadzkie wysokościach przez pionierów uwrażliwionych na ducha kontrkultury, na dysydenckie herezje, a szczególnie na poszukiwanie nowego punktu oparcia dla niesfornej myśli filozoficznej XX wieku Chata Socjologa nie mogła być później w żaden sposób atrakcyjna ani dla propagandyistów władzy ani dla wędrowców z różnych enklaw antykomunistycznej opozycji, (tzn. tych, którzy już wówczas byli motywowani

twardymi ideałami republikańskimi, konserwatywno-liberalnymi lub konfesyjonarodowymi). Dlatego wieczory przy ognisku pod wiatą rozbrzmiewały pieśniami protestu Joan Baes, motywami Wieku Wodnika z musicalu Hair, strofami progresywnego rocka, nastrojowymi balladami Okudźwy i buntowniczymi rytmami Wysockiego. Rzecz jasna nie omijano wyrazistych i nie rzadko sprośnych ludowych przyspiewek a nawet zawartości śpiewników harcerskich i patriotycznych. Pierwsza Brygada należała do ulubionych pozycji.

Wspominam mrowienie po plecach, gdy podczas tych misterii bajania i śpiewów (z gitarą lub a capella) odprawianych pod wiatą wieczorną porą zdarzało się nieopatrznie wywołać opiekuńcze duchy tej zagarniętej przez nas polany - jakże inaczej zaludnionej niż pokolenie czy dwa wstecz. Działo się to w sposób naprawdę dojmujący tylko wtedy, gdy „Hucut” (Andrzej Organ, stary wyga Przewodników Bieszczadzkich) miał nastój do wokalnych wyczynów. Stawał poza kręgiem słuchaczy i ciepła bijącego od ogniska. Odwrócony ku połoninom mającym błękitną poświatą nabierał tchu i niewymownie mocnym tenorem sięgającym dyszkantu zaklinał: „Ja---wo---rina.... Ja---wo---rina ... Ja---wo---ri---na ---chlap---cy--- Ja---wo---ri-----na”. Wznoszące się tercjami wołanie mieszało się z echem wytrąconym z utajenia (może w jakimś przepastnym jarze prowadzącym swój ukochany strumyk w stronę Sanu czy może w zapadłej studni gdzieś przy zapomnianym cerkwisku), by zawracać ku nam w górę od Chmiela i odbijać się od ściany lasu mozolnie wypełniającego zza otryckiego garbu. Ten obraz niezawodnie zjawia mi się przed oczami, ilekroć słucham owego momentu I Rumuńskiej Rapsodii Enescu, gdy po gęstej symfonicznej narracji nawołującej do frenetycznego tańca, koncertująco rozbrzmiewa tęskna pasterska kantylena i niezawodnie wywołuje takie samo mrowienie w plecach. Ta scena musiała zauroczyć pewną dziewczynę, która porzuciła rodzin-



nę Warszawę i wybrała Bieszczady na miejsce do wspólnego życia z Andrzejem.

Jak każdy nowo przybywający tak i ja wyczerpany dwugodzinnym mozołem wdrapywania się na górę (tym najłatwiejszym szlakiem od Lutowisk, rozpoczynającym się tuż przy opustoszałej cerkwi) bez pytania kim jestem i skąd się wziąłem otrzymałem miejsce na polu namiotowym z zapierającym dech widokiem na połoniny po południowej stronie Sanu. Znalazło się też miejsce przy wieczornym ognisku pod wiatą i przy stole w czasie wspólnych posiłków. Miałem też jak wszyscy swobodny wstęp na debaty improwizowane pod zadaszeniem dużego wojskowego namiotu (tzw. 10-tki). Warunkiem korzystania z wszystkich tych dobrodziejstw było tylko udzielanie się w otryckiej aktywności dnia powszedniego, jak: pomoc przy budowie, dźwiganie prowiantu, wspólne zarobkowanie na konkretne potrzeby (np. deski na podłogę za pracę przy prywatnych sianokosach). Moim wkładem były prace stolarskie przy układaniu podłogi i wykończeniowym szalunku ścian świetlicy z kominkiem. Często dźwigałem plecak z kilkunastoma kilogramami zaopatrzenia ze sklepu w Lutowiskach i nie tylko. Pewnego razu wtargaliśmy na górę duże stalowe taczki „zakupione” okazjnie od Zeków. Zrobiła się z tego awantura i trzeba było je z powrotem, już po trzeźwemu i całkiem polubownie tarabanić na dół do poszkodowanej placówki Zakładu Karnego. Było tak ciężko, że do dziś pozostało zagadką jak daliśmy radę pod górę.

Tylko z rzadka, ale z lubością dopuszczenia do misterium przysłuchiwałem się debatom starszyny w wojskowej 10-ce. W owym czasie miałem bardzo nikłe pojęcie o czym rozprawiano. Dla świeżo upieczonego studenta rodem z Polesia Lubelskiego (niewątpliwie głębokie pogranicze Polski, ale też całego Okcydentu) były to niebotyczne uniwersyteckie wyżyny erudycji. Toteż najwyraźniej zapadły mi w pamięci anegdotycz-

ne odpryski, jak relacja o tym, jakoby Mirek Chałubiński przez pomyłkę ułożywszy się do snu w namiocie dwóch grzecznych sąsiadku, uniósł się nagle na postaniu podnosząc ku niebu wskazujący palec prawej ręki i zakrzyknął w półśnie przejmującym głosem: „A jednak Lukacs był marksistą!”, po czym legł z powrotem na wznak i na dobre zasnął. Miało się to dziać po powrocie chwiejnym krokiem z zapalczego „gestykulowania” pod plandeką 10-ki też referatu wygłoszonego wśród kłębów tytoniowego dymu.

Na samym dniu własnych wspomnień i zasłyszanych opowieści o tych debatach odnajduję rosnące wówczas przeświadczenie, że skorupa urzędowego marksizmu-leninizmu jest bardzo twarda, ale i tak nie może się oprzeć żywotności teoretycznych i metodycznych inwencji zawartych w piśmiennictwie Karola Marksa i w intelektualnym dorobku kolejnych pokoleń myślicieli jak Gramsci, Lukacs, Horkheimer, Adorno, Marcuse, Habermas. Pomogło to później z szacunkiem odnosić się do twórczości Adama Schaffa, Bronisława Baczki i Leszka Kołakowskiego, jako zanadto dociekliwych i niebezpiecznie popularnych krytyków marksistowskiej ortodoksji.

Dwie lekcje wyniosłem dla siebie z zetknięcia z klimatami Klubu Otryckiego owego pionierskiego okresu. Pierwsza z nich to lekcja filozofii z konkluzją, aby utrzymywać szeroki front teoretycznych zainteresowań, jako że każda – czy to zamaszysta, czy powściągliwa - próba opisywania i objaśniania świata jest dziedzictwem swojego czasu i jemu właściwego instrumentarium pojęciowego. Na miejscu cenzurowanym stanął w szczególności paradygmat holistycznego konstruowania mechaniki przemian społecznych. Ten sam, w którym tkwi marksizm i to nie tylko ten rozpychający się w piśmiennictwie ogólnie dostępnym w księgarniach PRL-u. Nawyk całościowego modelowania instytucjonalnego ładu

(nie musi to być zaraz całość dziejów) może zaćmiewać rzeczy niepozorne i nieprzewidywalne a potężne w swej masie. Dzisiejszy przykład alternatywnego podejścia to „Kapitał XXI w” Thomasa Piketty, osadzony w tradycji Annales słynącej ze wstrzemięźliwości wobec teoretyzowania.

Lekcja druga to przesłanie praktyczne, aby nie śpieszyć się z zachwytem albo niechęcią wobec aktów strzelistych, gdy są - tak jak Heńkowe wywieszenie czerwonej flagi - motywowane szczerym pragnieniem porozumienia, wspólnego dobra czy sprawiedliwości cokolwiek miałyby znaczyć te przecież powszechnie podzielane tęsknoty. Mogłem się przekonać, że nie budziła niesmaku ani kontrowersji czerwona flaga na maszcie obozowiska. Naszym udziałem był happening a nie ideologiczne szkolenie. Nikt z nas też nie nadawał się na ofiarę indoktrynacji. Wreszcie nie było odważnych propagandystów by z tym tutaj wkraczać. Ten znak stanowił niejako „przyrodzoną” część przedsięwzięcia pod tytułem Klub Otrycki. Był wyrazem przewrotnego kontestowania uzurpatorskiej czerwieni sztandarów powiewających od łaby po Kamczatkę. Nie tylko ja tak właśnie to traktowałem, a ponadto (z gruntu bezrefleksyjnie) brałem za wielce prawdopodobne, że zarówno maszt jak i statuetka Lenina umieszczona przez Heńka w świetlicy na poczesnym miejscu miały do odegrania funkcję praktyczną - jako odgromniki na okoliczność ideowych wyładowań na wysokich szczeblach władzy. Ulokowanie ich na Otrycie było czymś w rodzaju magicznego zaklęcia, aby zabezpieczyć przedsięwzięcie przed kłopotliwą wrażliwością ludzi władzy. Ten zabieg wydać się może zadziwiająco skuteczny z dzisiejszej perspektywy. Nie pamiętam by docierały do mnie jakieś alerty o inwigilacji przez służbę bezpieczeństwa. Mam na myśli rozpoznanie jakie stałe prowadzono w grupie uchodzącej za hippisowską, która gniazdowała w Dolinie Caryńskiego. W gruncie rzeczy była to wyprzedzają-

ca Monar inicjatywa Piotra Dmyszewicza i Wieńczysława Nowackiego, by stworzyć alternatywny, pionierski ośrodek leczenia uzależnień. Wątpię by ktoś z otryckiej braci chciał się babrać w materiałach IPN-u dla zaspokojenia ciekawości.

Wątpliwości co do bezpieczeństwa Otryczyków może budzić aresztowanie „Bila”, stałego rezydenta Chaty w stanie wojennym za nielegalne posiadanie broni palnej. Chodziło podobno o obrzyn wykorzystywany przez niego do kłusowania. O ile mi wiadomo otryckie środowisko w Warszawie nie było z tego powodu szykanowane, ale też nie mogło pomóc w obliczu piramidalnej nieroztropności swego człowieka. Znane było natomiast, zwłaszcza z okresu pionierskiego, całkiem przychylnie nastawienie patroli Wojsk Ochrony Pogranicza nadzorujących strefę nadgraniczną. Zawsze można było liczyć na dobre słowo i pomoc Nadleśnictwa z Lutowisk (np. ostrzeżenie o nawiedzeniu naszego rejonu przez niedźwiedzia).

Był pewien anegdotyczny efekt czerwonej flagi na maszcie. Pewnego letniego popołudnia podkusiła ona do wdrapania się do nas na górę Zenona Kliszkę, byłego prominenta najwyższych władz PRL i prawą rękę Władysława Gomułki. Zjawił się od strony Chmielu pod nieobecność większości zajętej poza obozem. Ekipa dyżurująca w kuchni zaoferowała poczęstunek, ale gość się wymówił brakiem apetytu i dobrym wyżywieniem w pensjonacie gdzieś na dole. Podobno ktoś z rozmówców dość szybko wyplotował go rezolutnymi pytaniami o Grudzień 1970. Kojarzy mi się tutaj harmonizująca z sytuacją ognista czupryna Piotrka Morawskiego. Więcej szczegółów musi pamiętać Ewa Lewicka, od której pochodzi relacja podawana później z ust do ust.

Klub Otrycki zachowuje ciągłość egzystencji od 50 lat. Chata stoi tam, gdzie stała, tylko trochę jakby urosła - odbudowana

przez młodą generację po pożarze w styczniu 2003 roku. Z całą świadomością mizernych zasług poczytuję sobie za wielki honor należeć do grona weteranów pionierskiego czasu. W okresie od czerwca 1973 do grudnia 1975 w każdym roku odbywałem po kilka eskapad. Wychodzi jednak na to, że przebywałem na Otrycie nie dłużej niż zaledwie przez 100 obrotów Ziemi wokół własnej osi. Najdłuższe były oczywiście pobyty wakacyjne. Złożyło się to wszystko na nikły ułamek z 25.000 obrotów przeżytych przez 68-latkę. A jednak nie byłbym tym kim przyszło mi być, gdyby nie te 100 dni ekscentrycznych doznań. Dlatego po zakończeniu studiów i oddaleniu się od uczelnianego środowiska stale zerkaniem na to miejsce z oddali. Po wielu, wielu latach serdeczna gościnność Jacka Dohnalika w jego domu pod Warszawą stworzyła doskonałą oprawę do przebiegania samotór otryckich zakamarków pamięci w nieśpiesznym komentowaniu pamiętnych zdarzeń i ożywianiu postaci uczestników. Po roku 1975 udało mi się wyprawić do Chaty tylko dwukrotnie. Jeden raz w trakcie bieszczadzkiej wczasów z rodziną, a po raz drugi na jubileusz 30-lecia. Towarzyszył mi dorastający syn Maciej. Po bardzo długiej przerwie tylko z rzadka korzystałem z okazji spotkania z Henrykiem i odświeżania kontaktów w Warszawie podczas nieregularnych dyskusyjnych zebrań weteranów Klubu w Tarabuku (póki trwał), w kawiarni Nowy świat w latach 2017-19. Henryk skrzykiwał nas wtedy na dysputy pod firmą Kolegium Otryckie. Pod Mostkiem już nie bywałem, ani na seansach filmowych Piotra Morawskiego.

Trudno mi pogodzić się z tym, że Heniek już nigdy nie przyśle maila i nie podejmie rozmowy przez komórkę. Na szczęście mam jeszcze śmiałość liczyć na uwagę słuchaczy, którzy mogą być ciekawi otryckich doznań wczesnego bywalca, chociaż wydobywanie głębokich osadów z labiryntu synaps i ich reanimowanie po tylu latach jest nieuchronnie a bezwiednie uwiedzione

przez pokusę przypodobania się i zapewne także okiełznane jakimiś dozorami poprawności.

Ciekawszy musi być horyzont doznań dzisiejszych wędrowców przekraczających próg Chaty (w drugim, trzecim i może dalszych pokoleniach). Ich właśnie dotyczy moje nieśmiałe, cichym szeptem wypowiedane marzenie. Wyglądam znaków nawrotu kulturowego i intelektualnego fermentu, dla którego Chata Socjologa na Górnym Otrycie była i wciąż będzie przytuliskiem z podobną do Heńkowej ambicją cumowania ekscentrycznie szczerzej debaty nad lepszym urządzeniem gromadnej egzystencji. Wyglądam fascynacji opowieściami przybysza: kto zacz, jak wyobraża sobie lepszy świat, czego mu teraz najbardziej potrzeba? Wyglądam ochotnego wędrowania wraz z przyjaciółmi po rozgwieżdżonym nieboskłonie idei bez transparentów i bez proporców, ponad emocjonalnymi frontami plemiennej wojny kultur, która stała się treścią dzisiejszej propagandy i zdominowała agendę nawet tej poważniejszej publicystyki. W gruncie rzeczy to marzenie nie jest moje. Przemawia tutaj dziedzictwo Chaty Socjologa zawarte w dwóch słowach *communia colloquia*.

A czy to moje orędownictwo jest nie na miejscu? Spójrzmy, jak wielu mamy na tym świecie uważnych czytelników „Czułego Narratora”. Zapytajmy, dlaczego nie miałyby być teraz trochę tak jak było przed pięćdziesięcioma laty, gdy ledwie słyszalne echa kontrkultury schyłku lat 60-tych przynaglały do wyprawy na otrycką polaną rezydentów dalekich nizin obolałych od zgiełku starć o więcej dóbr i/lub więcej władzy. A przecież już teraz, po tylu latach tak wiele osób - starych i młodych - ma dokąd przyjść. Wystarczy znak Chaty Socjologa by włączyć się do wspólnej rozmowy, która drąży skałę.



WSZYSTKIE STWORZENIA DUŻE I MAŁE*

ANDRZEJ GRĄDZKI

Rok 1982, wrzesień. Dziewczyna na zdjęciu to Basia. A pies? No właśnie, jak wabił się ten szczeniak? Chyba nigdy się tego nie dowiemy, szczeniaczek zachorował na nosówkę i było już po nim. Później był inny szczeniak, nieoficjalnie nazwany „Kajmanem”, Gospodarz Witka nadał mu imię raczej „solidniejsze” ale szczeniak reagował tylko na imię nieoficjalne, co doprowadzało Witka do wściekłości, natomiast piesek był bardzo zadowolony z tego „Kajmana”.

Na Otrycie towarzyszyły nam zwierzęta – duże jak koń Otryt i małe – jak koty wygrzewające się rankiem w kominku, na ciepłym popiele. I kozy. Cap Trocki, psy Borys i Kazan, osiołek...

Jesteśmy pewni, że zachowało się dużo zdjęć otryckich zwierzątek i niemało o nich wspomnień. Podzielcie się z nami a przede wszystkim z czytelnikami biuletynu, bardzo chętnie umieścimy na naszych łamach to, co nam udostępnicie. Mała próbka w poprzednim akapicie. Zwierzęta zasługują na własną galerię, galerię Otryckich Stworzeń Dużych i Małych. Naszych mniejszych braci i sióstr.

**James Herriot „Wszystkie stworzenia duże i małe” - wspomnienia brytyjskiego weterynarza.*

- 1 fot. Andrzej Grądzki, 1982
- 2 fot. Szymon Staciewicz-Jasiak, 2019
- 3 fot. Andrzej Grądzki, 1981



„DALEKO OD KC. OPÓR SPOŁECZNY W BIESZCZADACH”

ANDRZEJ GRĄDZKI

„Daleko od KC. Opór społeczny w Bieszczadach” to tytuł wystawy ulokowanej jesienią 2021 przed Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej. Zdjęcia, fotokopie dokumentów, krótkie opisy i wprowadzenia w temat umieszczono na kilkunastu tablicach. Wśród wielu wątków odnaleźć tam można (z niejakim zaskoczeniem) pewne otryckie ślady, może drobne ale ciekawe.

Fotografia Artura Lignowskiego zabezpieczającego żywność przed gryzoniami. Ale widać tam także kota baczenie obserwującego działania Artura i już się nie dowiemy czy kotu chodziło o gryzienie czy o tę żywność.

Waldemar Niezgodą inwentaryzuje chatę pięć bojkowską na Otrycie. Brzmi ciekawie a nawet tajemniczo.

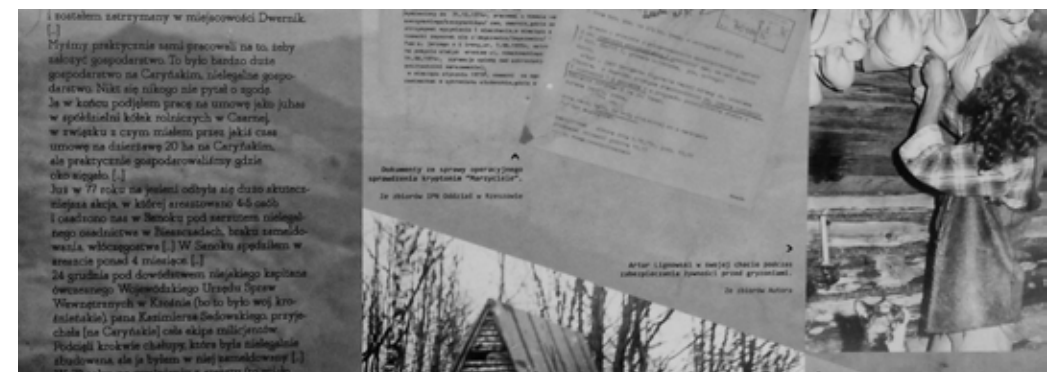
Kapitałne zdjęcie Mariana Hessa z Dwerniczka na planszy zatytułowanej „Ludzie gór”. Plansza „Ludzie, którym odcięto korzenie” pomieściła zdjęcie osadników w Dwerniku w roku 1971 – jeszcze przed budową Chaty.

Albo - prace przy inwentaryzacji cerkwi w Chmielu na planszy „Ludowy postęp kontra turystyczna „reakcja”. I na tej samej planszy rarytas, któremu warto poświęcić nieco więcej uwagi. Jest to fragment streszczenia materiałów operacyjnych Służby Bezpieczeństwa z 1975 r. a tam... „(...) pozbawiona społecznej kontroli ‘wioska’ może się stać ośrodkiem nieodpowiednich wybryków w rodzaju seansów narkotycznych, striptisu itp. miejscem azylu dla pasażerów turystycznych elementów – jak to miało miejsce w schronisku na łopienniku (...) oraz w schronisku na Otrycie.”

STRIPTIS!!! W SCHRONISKU NA OTRYCIE!

Puk puk, Hej hej, Hop hop! Dziadki! DziaDki Otryckie! Jak to było!? Nikt od Was nie żąda powtórki ale opowiedzcie coś więcej, opowiedzcie to tym najmłodszym, którym niekiedy wydaje się, że to oni właśnie pewne najprzyjemniejsze rzeczy wymyślili. Na pewno pamiętacie. I nie tylko pamiętacie...

I proszę się nie wykręcać. Autentyczność i „prawdę czasu” potwierdza rzeszowski IPN, który te wszystkie materiały wystawił.



fot. Andrzej Grądzki, 2021



**NIE
SIADAĆ**

ARTYŚCI RUSZAJĄ W BIESZCZADY

fot. Gabriela Woźniak





fot. Jacek Lidwin, Rybne koło Wołkowyji, 2021

BIESZCZADY PO SEZONIE

JACEK LIDWIN

Wolę Bieszczady po sezonie.
Bez ludzi,
Senne, puste, opuszczone.
Nikt nie stuka kijkami, nie świeci w oczy czołówką,
Nie mówi dzień dobry.
Nagie drzewa, prawie umarte, pięknokształtne.
Kiedyś dawno temu nawet zimą było tu dużo ludzi,
Ale już ich już ich tu nie ma, zostały po nich piwnice,
Widziane właśnie zimą, po sezonie,
Kiedy nie zastaniają ich żywe rośliny.
Kiedyś w maju ktoś pokazał mi stopę komina,
Domu swoich dziadków,
I ślady dróg w swojej wsi.
Wolę Bieszczady po sezonie...



fot. Jacek Lidwin
Wetlina
2021



fot. Jacek Lidwin
Przysłop
2021



fot. Jacek Lidwin
Wetlina
2021

fot. Jacek Lidwin, Kalnica, 2021



BIESZCZADY. PRZYBLIŻENIA

TADEUSZ A.OLSZAŃSKI (TAO)

*Wicher od kresu do kresu. Droga Mleczna
jak strzępki przedwiecznej jedni.
Niebo deszczu i niebo chmur. Grudki
jarzębin jak jantary na skraju ich fal.
Szlak połoninny w głębokich trawach.
Ścieżka zanikająca, zdeptana,
zagrodzona.*

*Po latach młodzięczy zachwyty zastygł,
skamieniał w klasyczny kształt czytelny
tylko z oddalenia.*



NA OTRYCKIEJ WERANDZIE

TADEUSZ A. OLSZAŃSKI (TAO)

Marianowi

*Po deszczu
dolina okrywa się bielą.
Nad nią
rozparła się Połonina.
Wiatr
opowiada w nieznanym językach.
Tak przyjacielu.
Ja ciągle tu,
a ty
w Bogu wiadomym przeznaczeniu.*

PRYZMAT

SARA

zeszklone szarość nad wargą wierzbową
zeszklona kamień zeszkłony w zen złoto
zeszklonym dzisiaj odbywa się jutro
zeszkleni noc ciemna
ze szkła śmierć i głucho
zeszklona asfaltem ulica witryna
ambulans synagog bezczeszczeń padlina
szkłem człowiek i szklany
pułapka jak zamek
od szklanej fortecy do szklanych krużganek
szkieł mnie szkli ustami
po zwiędłej powiece
zawiłe kwitnienie bez serc na łodydze
po udzie zmarznięte
dłonie przeszkleniem
do szpiku wydarte milcz wędruj językiem
szklanymi ustami w zaszkłonym kolanie
uwaga lawiny i patrz w sercu kamień
szkło to nie granit
to kruszec zwinności
pieniężmi topnienie
w rozwiązłej miłości
cóż szkła szkła na szkiełku
starcami litr zimy
cóż szklanej alchemii
alkohol z rezerwy
pocatuj mnie szklaną
niech szkła zsyp na wieczna
litania liryczna nasz ciało szkła konieczna
wołane paraliż w pułapkę odmową
i cisza na tabędź szkła listu szkła wodą
zeszklone na szarość nad wargą wierzbową
zeszklona na kamień zeszkłony w zen złoto



OTRYCKI KRYMINAŁ

ARIANE O'HENC

W Biuletynie Otryckim, w kolejnych numerach 22-24 dawno, dawno temu drukowany był otrycki kryminał. Być może dziwnym wydaje się przedruk ze źródeł własnych, zachęcamy jednak do uważnej lektury kryminału i zapoznania się z pewną propozycją.

ORIGINAL CRIME STORY!

1988 NATIONAL BESTSELLER!!

1989 THE PULITZER
PRIZE-WINNER'S NEW
BESTSELLER!!!

ARIANE O'HENC

„To się zawsze może zdarzyć”

Tytuł oryginału:
„It can always happen”

Tłum. z angielskiego: Kici Koci

Śnieg sypał bez przerwy od kilku dni. Ciężkie płatki osiadały na gałęziach świerków, tworząc ogromne, puszyste czapy. Co pewien czas któraś z gałęzi ugięła się nisko ku ziemi i śnieg z głuchym łoskotem spadał w dół. Biała pokrywa na schronisku Mt. Saint Otryt zaczęła przybierać niepokojące rozmiary. Mokry, zwięzły śnieg ani myślał zsuwać się w dół po pochyłości dachu.

- Niech to diabli! - kierownik schroniska, młody jeszcze mężczyzna o nieprzeniknionym obliczu, zaczynał się irytować. - Żeby tylko przestało padać do nocy. Warto by jeszcze dziś pozrzucić trochę z dachu. Jutro wszyscy będę półżywi.

Poniżej schroniska, na polanie widać było postacie w kolorowych narciarskich kombinizonach. Pomimo kiepskiej widoczności paru najwytrwalszych narciarzy starano się wykorzystać ostatnio jasne godziny starego roku. Większość gości pozostała jednak w schronisku, a z ciszy, jaka zapanowała po śniadaniu należało wnosić, że zachmurzone niebo podziało jak środek nasenny.

Od szeregu lat przez dwa zimowe tygodnie schronisko pod szczytem Mt. Saint Otryt zajmowane było przez stałe grono gości. Większość stanowili Anglicy, Amerykanie, Szwajcarzy, ale było też kilku Włochów, Francuzów, dwóch niemieckich intelektualistów, jeden Hiszpan /matador po kontuzji/. Artyści i naukowcy, biznesmeni, emerytowany wojskowy, były policjant, ludzie o różnych zawodach i zamiłowaniach, mieszkający w odległych zakątkach kuli ziemskiej. Przez cały rok nie utrzymywali ze sobą żadnych kontaktów, niezmiennie jednak na kilka dni przed Bożym Narodzeniem zjeżdżali wszyscy do małego, wysoko w górach leżącego schroniska. Przez dwa tygodnie obrzucali się śnieżkami, lepili ogromne bałwany z czerwonymi marchwianymi nocami, jeździli na nartach i sankach. Wieczorami atrakcją było jeszcze mniej - książki, karty, szachy i obficie podlewane alkoholem filozoficzne dyskusje przy kominku. Co ich łączyło, po co się tu spotykali? Któż to wie. W kilka dni po Nowym Roku rozjeżdżali się, każdy w swoją stronę. Nie pisywali do siebie listów, nie dzwonili, nie wysyłali życzeń urodzinowych. Czy myśleli o sobie? Wiadomo tylko tyle, że gdy

minął rok wracali niemal wszyscy.

Mt. Saint Otryt było najwyżej w górach leżącym schroniskiem. Droga do miasteczka przez sześć zimowych miesięcy była nieprzejezdna, a bywało też często, że gęsty śnieg zasypywał dojazd do najbliższej wsi. Schronisko posiadało wprawdzie mały pług śnieżny, ale używano go rzadko. Gościom z turnusu noworocznego nie zdarzało się bez potrzeby opuszczać zacisznej, osłoniętej od wiatrów polany. Aby uniknąć kłopotów już pierwszego dnia przywożone odpowiednio obfite zapasy żywności, a pan Duval, właściciel najlepszego w Chmielleville sprzętu śnieżnego zobowiązywał się w umówiony dzień - 3 stycznia, rano przetrzeć drogę do wsi, aby umożliwić wyjazd.

Koło południa przejaśniło się trochę. Śnieg padał wprawdzie nadal, ale były to już pojedyncze płatki, drobniejsze i jakby mniej wilgotne. Mario wyszedł na ganek kuchenny, z niepokojem spojrzął na białą czapę zwisającą z okapu, tuż nad jego głową.

- Jaka szkoda, że Robert ma wolne, znów będę musiał sam włączyć na górę. Jak w zeszłym roku. Cholerna robota, morderwałem się wtedy z pół dnia. Nikt, rzecz jasno, nie raczył pomóc. Chociaż właściwie... mógłbym poprosić, może Derek mi pomoże. Równy z niego gość.

Derek i Bo, sympatyczna para Anglików w średnim wieku zajmowali pokój na pierwszym piętrze, bezpośrednio nad mieszkaniem kierownika. Derek był biznesmenem, udziałowcem kilku dużych spółek i przewodniczącym Rady Nadzorczej Jary Plumbors Co. Jego żona, Bo, zajmowała się wydawaniem magazynu ilustrowanego, który Derek zakupił specjalnie dla niej przed paru laty. Pismo nie należało do specjalnie poczytnych, a złośliwi twierdzili nawet, że Derek wykupywał z własnych funduszy połowę całego nakładu, ratując wydawnictwo przed niechybną plajtką. Bo

była osobą o bystrym umyśle, ciętym dowcipie i dużym pociągą do alkoholu, co stanowiło stałą troskę jej męża.

Mario zapukał do drzwi pokoju nr 5, odczekał chwilę i zapukał raz jeszcze. Potem wstrzymał oddech i przez chwilę usiłował wyłowić uchem jakikolwiek dźwięk. Wewnątrz panowała jednak niczym nie zmącona cisza.

- Śpią tak samo jak cała reszta - pomyślał i ruszył z powrotem w kierunku schodów. Zszedł już kilka stopni w dół, gdy za plecami usłyszał zaspany głos. W drzwiach „czwórki” stała postać w długiej, nocnej koszuli.

- O, Alexa - uśmiechnął się Mario - nie za wcześnie trochę na wstawanie?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Okay, dowcipny jesteś - zgodziła się w końcu. Potem ziewnęła szeroko, zapominając o zasłonięciu ust dłonią. - Aaaa, spać poszłam strasznie późno, czytałam prawie do rana. Przeciągnęła się.

- Uhm, Andy to chyba podziela twoje zamiłowanie do literatury, nie uważasz? Widziałem, jak wchodziłaś do jego pokoju wczoraj po północy - dodał, widząc, że z początku nie rozumiała o czym mówi.

- Ty to chyba bierzesz dodatkową pensję za śledzenie swoich gości. Przed chwilę też podsłuchiwałaś pod drzwiami tych Anglików - odcięła się Alexa.

- No, no, muszę wiedzieć, co się dzieje pod moim dachem. - uśmiechnął się Mario. - W końcu od tego tu jestem.

- Tylko nie przesadz z tym przypadkiem - pogroziła mu palcem. - Do Andy'ego poszłam pożyczyć papierosy - uznała jednak za stosowne wytłumaczyć się. - Zresztą i tak nie było go w pokoju. Ciekawe, gdzie

tym razem się zabawiał. Przyglądała trochę nieuczesane włosy.

- Założę się, że jego pościeli nie ma potrzeby w ogóle zmieniać.

Andy, młody Anglik, birbant i utracjusz, był postacią tym gronie bardzo popularną. Wielką fortunę swego papy trwonił wesoło i pomysłowo. Andy /Andy-Dandy, jak go tu nazywano/ wedle swych własnych słów nie mógł się, niestety obejść w życiu bez trzech rzeczy: koni z rana, alkoholu wieczorem i kobiet w nocy. Jego stajnia należała do najlepszych w hrabstwie Monmouthshire, a piwnica znana była w całej Walii. Tu, w górach, konie zmuszony był zamienić na narty, ale z pozostałych dwóch przyjemności nie zamierzał rezygnować. I nie rezygnował.

Mario zostawił Alexę, ostrzegając ją jeszcze, że nie zdąży na lunch, jeśli w ciągu godziny nie zdoła umyć się i ubrać, a sam zszedł na parter. Śnieg przestał padać, przez pojaśniałą nagle warstwę chmur przebił się promień słońca. Góry oglądane przez lornetkę Maria wyglądały surowo i groźnie. Białe języki śniegu sięgały daleko aż pod samą grań. W najwyższych partiach źleńców zalegały stromo, niemal pionowo ponad skalnymi półkami i występami, tworząc masywne, miejscami przewieszono filary. Mario znał dobrze góry, chociaż pochodził z nad morza i wychował się w słonecznej Genui.

Już jako chłopiec zaczął, najpierw wspólnie z ojcem, potem już samotniej przemierzać pasma pobliskiego Apeninu Liguryjskiego. Z czasem przyszła kolej na coraz to wyższe i coraz odleglejsze góry. Lata mijaly, a on wspinał się i znów schodził w dół, w słoneczne, ludne doliny. Aż któreś zimy poczuł znużenie tym ciągłym włóceniem się po świecie i postanowił zostać gdzieś na dłużej. Trafiło się schronisko pod Mt. Saint Otryt. Poprzedni kierownik zniknął bez wieści, po prostu któregoś razu nie wrócił już z urlopu. Dom stał wysoko w górach, z dala od uczęszczanych szlaków, nie było więc wielu chętnych do zamieszkania na stałe. Mario postanowił spróbować. Było to wiele lat temu. Od tego czasu schronisko stało się jego prawdziwym i jedynym domem. Kilka tygodni przysługującego mu urlopu, które spędzał zazwyczaj u matki w Genui, dłużyły się niemiłosiernie. Z ulgą pakował plecak i wracał z powrotem do siebie.

W schronisku, oprócz niego, mieszkało na stałe niemłode już małżeństwo - Robert i Eliza. Ona gotowała, sprzątała pokoje, on wykonywał wszystkie cięższe roboty, zajmował się zaopatrzeniem, pomagał żonie. Mario lubił ich spokojne, niekrępujące towarzystwo, pasowali do siebie. W sezonie świątecznym Robert i Eliza wyjeżdżali pod Berno do swych krewnych. Wracali po Trzech Królach obładowani pakunkami i zmęczeni, niezmiennie zapewniając, że w przyszłym roku nie mają zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Podczas ich nieobecności

goście z turnusu sylwestrowego zmuszeni byli sami gotować i sprzątać, co zresztą traktowali jako dość zabawne, a przy tym niezbyt męczące urozmaicenie urlopu.

Mario patrzył wciąż na góry. Wiedział, czym grożą to śnieżne ściany wznoszące się ponad wąwozem. Dzień, dwa i wszystko to może z ogłuszającym hukiem runąć w dół, zasypując na przestrzeni ponad kilometra drogę do Chmieleville.

Zegar w mieszkaniu wybił pierwszą. Na polanie obok schroniska Jerry Fracklin i jego młoda żonka zaczęli lepić kolejnego bałwana. Kilka poprzednich przysypanych grubą warstwą śniegu stało w różnym oddaleniu od budynku, dając przy pierwszym spojrzeniu wrażenie ruchu, a nawet tłoku na polanie. Jerry toczył wielką śnieżną kulę, po chwili jednak zaczął do niej dolepić mniejsze bryły, rozbudowując na długość swa budowle tak, że tworzyła coś na kształt muru.

- Ładny dzień się robi - pomyślał Mario. - Ciekawe, czy Dominique i profesor von Sydlack nie zapomnieli, że przygotowuję dziś lunch. Ona buja ciągle w obłokach, za to trzeba przyznać, że profesor całkiem nieźle gotuje.

- Jerry!! Ależ co ty robisz?! - Isabel skończyła właśnie toczenie pięknej, kształtnej kuli i ze zdumieniem stwierdziła, że nie ma na czym jej umieścić. - Przecież mieliśmy lepić

bałwana...!

- Taak... Ale zobacz... To też ładne... - Jerry uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Schronisko ożywiało się. Ze środka dobiegało przytłumione skrzypienie schodów, stukanie drzwi, jakieś rozmowy, śmiech. Tak, robił się naprawdę przyjemny dzień...

Nagle...

- Non! Non! Oh, mon Dieu! Oh, mon Dieu! Non, ce n'est pas possible! non, non... rozdzierający krzyk przeszedł w przeciągłe zawodzenie. Mario rzucił się do drzwi. W korytarzu, przy wejściu do spiżarni Marco Piccolo podtrzymywał sflaniającą się Dominique. Felipe i Dr Georg pochylali się nad czymś leżącym na podłodze spiżarni, ale Mario nie mógł dojrzeć, co to było.

- Dominique, co się stało?

- Ce n'est pas vrai, ce n'est pas possible - powtarzała w kółko jak obłąkana. Mario odsunął Dr Georga i poczuł nagłe dławienie w gardle. Na podłodze spiżarni leżał Michael White. W jego lewej piersi, wbity aż po rękopięść tkwił nóż.

fot. Gabriela Woźniak, 2019



ORIGINAL CRIME STORY !!!

NEARLY ONE MILLIION COPIES
SOLD IN WARSAW ALONE!

NOWY REWELACYJNY TYTUŁ!!!

ARIANE O'HENC

„Zbrodnia w wysokich górach”

tyt. oryginału: „A Crime in the High
Mountains”

tłum. z angielskiego: Kici Koci

Errata: Uprzejmie przepraszamy P.T. Czytelników za błąd, jaki wkradł się do poprzedniego odcinka powieści. Zamiast imienia „Alexis” wydrukowane mylnie „Alexa”. Otóż po konsultacjach okazało się, że młoda Włoszka o domieszce krwi cypryjskiej żadną miarę nie może nosić imienia Alexa.

Zainteresowane osoby serdecznie
przepraszamy.

- Mario! Nie dotykaj niczego? Niczego nie wolno ruszać! - Al przeciskał się przez coraz liczniejszą grupę gości, która już zdążyła zebrać się w korytarzu. - Bardzo proszę, by nikt niczego nie dotykał. - Przepuszczono go i po chwili stał przy drzwiach do spiżarni. Powoli, z namaszczeniem zdjął z głowy swe eleganckie, szare borsalino i pochylił się nad leżącym na ziemi ciałem. Przez dłuższy moment w skupieniu wpatrywał się w twarz zmarłego. Dotknął jego ręki, czoła...Potem westchnął ciężko i nie wiadomo kogo zapytał - Co się stało? Kto to zrobił? Mike? Komu się mogłeś narazić? - Po chwili wyprostował się i spojrzał na zastygłe w przerażeniu twarze wczasowiczów.

- Z pobieżnych oględzin wynika, że nie żyje od jakichś dwóch godzin - powiedział - dostał prosto w serce. Znam ten cios. U nas,

we Frisco co drugiego umarlaka znajdowaliśmy załatwionego w ten sposób. Tak... A zwłaszcza w Chinatown. Tam zdarzało się to codziennie.

Nagle oczy zwęziły mu się i badawczo spojrzał na zebranych. -Kto? Kto z was to zrobił? - spytał - Może ty? - położył rękę na ramieniu stojącego obok Dr Georga.

- Odczep się, Al, ode mnie - zachnął się Georg i szarpnął do tyłu.

- No..., a w takim razie może pan, generale McArthur? - Al nie tracił nic ze swego chłodnego spokoju.

- No wie pani!! Jak pan śmie? Wypraszam sobie! Jestem emerytowanym wojskowym i nie pozwolę szargać honoru oficera. Żądam przeproszenia. - Gen. Arthur McArthur poczerwieniał z oburzenia i zaczął szukać rękę po kieszeniach swej sportowej kurtki.

- Siedź pan cicho - szepnął Al i wpił się wzrokiem w stojącego obok generała, Felipe. Były matador przyjeżdżał do schroniska od bardzo dawno. Jak głośliwa plotka jego świetnie zapowiadające się kariera urwała się nagle przed ponad 7 laty, gdy pewnego marcowego dnia o świcie kompletnie pijany znalazł się na arenie stadionu i ze zdziwieniem ujrzał w odległości kilku metrów od siebie ogromnego, czarnego buhaja. Co warto zaznaczyć, byk patrzył na niego z nie mniejszym i poniekąd usprawiedliwionym zdumieniem. Felipe z kieliszkiem i na pół opróżniona butelkę w roku tworzył bowiem malowniczą kompozycję. Jego czarne, wizytowe spodnie o wciąż nieskazitelnym zaprasowanym kontakcie, dziwnie kontrastowały z kusym damskim płaszczem koloru świeżej marchewki i fantazyjnie dookoła szyi zawiązanym jedwabnym szalem. Płaszcz pożyczyła mu życzliwa kelnerka z baru „Los Toros Negros”, gdy opuszczając o drugiej nad ranem lokal zapowiedział spacer do odległego o 10

km Tetuan de las Victorias. Szalik o pięknym, głębokim odcieniu południowego nieba zdobył w jakimś następnym barze. Zapewne ofiarował mu go ktoś z krzykliwego, rozbawionego tłumu na Fuerto del Sol. Matador znany był szeroko ze swego niezrównanego poczucia humoru, ale tym razem, rzecz można, nieco go ono zawiodło. Nagle oprzytomniały rzucił się do ucieczki, co, zdaje się, wywołało jakieś nieprzyjemne wspomnienia u jego przeciwnika. Byk ruszył za nim ciężko, lecz z dużą prędkością i dogonił zanim matador dopadł do ogrodzenia. Od tego czasu Felipe czuł wyraźną niechęć zarówno do marchewki jak i do wołowiny.

Al zrobił krok do przodu, gdy wtem wyraz jego twarzy zmienił się i zaciekawiony spojrzał na Hiszpana.

- Felipe, co ty tutaj masz za siniak?-

- Gdzie? Tu? - nie spieszył się zapytany. - Nie wiesz, Al? Byk mnie kopnął.

- A, tak... Byk - uśmiechnął się Al - Byk par excellence. Byczunio... Słuchaj, no... A gdzie jest Jacques? Znajdź mi go zaraz. Niech przyjdzie tu z aparatem. Trzeba zrobić... Dalsze słowa utonęły w gwałtownie narastającym, groźnym pomruku. Brzmiało to tak, jakby cała eskadra samolotów nadlatywała nad schronisko od wschodniej strony. . .

- Manewry wojskowe...? Tu...? - zdążył pomyśleć generał McArthur, gdy wtem pomruk przeszedł w potężny, głuchy huk. Szyby w drzwiach zadrżały i wydały piękny dzwoniący dźwięk. Łoskot nie ustawał, teraz wydawało się, że tuż za ścianę przebiega w oszalałym galopie tabun dzikich koni, tratując świat swymi potężnymi kopytami.

Właściwie była to prawda, choć to nie stado rumaków pędziło górskim wąwozem. Ciche i majestatycznie ruszyła w dół lawi-

na, której tak obawiał się Mario. Z każdą sekundę nabierała siły i prędkości, aż stała się białym rozszalałym żywiołem, niczym nie wstrzymaną kipiela. Toczyła się w dół grzmiąca i skłębiona, porywając ze sobą to, co stało na jej drodze.

Szyby zadzwoniły raz jeszcze głośnie i rozpaczliwie aż nagle wszystko ucichło. Mogło się здаwać, że nic nie zmąciło tego pięknego, zimowego dnia. Do sali kominkowej wpadały promienie słońca, tworząc na podłodze równoległe, jasne pasma, oświetlając w powietrzu drobinki kurzu. Zrobiło się jakoś tak spokojnie i niemal przyjemnie. Alexis pomyślała że wcale się nie boi i natychmiast zaczerwieniła się po same uszy, bo wydało jej się, że w ciszy jaka zapanowała po przejściu lawiny wszyscy usłyszeć mogą jej myśli.

Pierwszy przerwał milczenie dr Georg.

- Nikt chyba nie wybierał się dziś w góry - rozejrzał się pytająco po twarzach, dziwnie zamyślonych i jakby nieobecnych. - Tym na nartach nie powinno stać się nic złego. Lawina zeszła od wschodniej strony, miejmy nadzieję, że nikt nie zapuścił się tam. Mario, kto jeździ dziś na nartach? - Mario bezradnie ruszył głową. Codziennie ktoś zapowiadał, że wybiera się narty, potem rezygnował, szedł na spacer, rzucał śnieżkami do celu albo beczynnym patrzył w ogień na kominku. . .

- Trudno powiedzieć, na pewno jeździ Frau Dorothea, Andreas Ilitsch i Jane. Co do reszty nie jestem pewien.

- Jest tam jeszcze Marc Smith i Andy. Przynajmniej byli, gdy odłączyłem się od nich. Biedny Michael zjechał też z nami może ze dwa razy, ale potem zaczął skarżyć się na ból w kolanie i wrócił do schroniska. To było gdzieś koło dziewiątej trzydzieści. Pamiętam dobrze, bo kilka minut później Frau Dorothea stłukła sobie zegarek przy upadku i odruchowo spojrzałem

na swój...

W tym momencie coś miękkiego upadło na podłogę nieopodal wejścia do kuchni. Jacques blady i drżący stał przez kilkanaście ostatnich obfitujących w wydarzenia minut w kącie korytarza. Przez nikogo nie zauważony i sam niewiele widząc usiłował zapanować nad rozdygotanymi nerwami. W głowie kołatała mu uporczywa myśl: „Ktoś zabił Mike’a! Kto go zabił? Dlaczego nie zabił mnie? Huk spadającej lawiny, obraz Michaela leżącego w spiżarni wśród swojsko wyglądających pości stoniny, pęt kiełbas, sznurków suszonych grzybów i jeszcze ten stoik, stłuczony stoik z zielonym groszkiem tuż koło głowy Mike’a. Zielony groszek zaczął mu wirować przed oczyma i Jacques, którego twarz nabrała niemal identycznej barwy, osunął się na podłogę.

- Mamma mia! - jęknął Marco Piccolo i z wrażenia wypuścił podtrzymywaną w dalszym ciągu Dominique. Ta, zdeorientowana zamachała trzepotliwie rękoma i z cichym pufnięciem potoczyła się do stóp Jacquesa. Przywróciło mu to na chwilę przytomność, ale w jego ciemnych oczach odmalowało się tylko przerażenie.

- To nie ja - szepnął - przysięgam, że to nie ja.- i zemdlał ponownie.

- Dziwne – pomyślał Al – o czym on mówi? Jacques był młodym człowiekiem o ascetycznej budowie i melancholijnych, głęboko osadzonych oczach. Z zawodu fotograf, właściciel małego atelier na przedmieściach Genewy, całymi dniami wykonywał setki identycznych małych zdjęć, takich jakie ludzie wklejają zwykle do paszportów, legitymacji i Bóg wie gdzie jeszcze. Szarzyzna i nuda tej pracy rodziły w nim głęboką frustrację, która po latach zaowocowała ciężkim załamaniem nerwowym. Jacques musiał kilkakrotnie poddawać się leczeniu zamkniętemu. Również tego roku, tuż przed świętami, spędził kilka tygodni w klinice. Wyszedł z niej dość szybko

dzięki wysiłkom i pomocy opiekującego się nim psychologa Bell Gutman. Bell była naprawdę wybitnym specjalistą a pacjentom poświęcała cały swój czas, doświadczenie i serce.

- Bell, trzeba zabrać stąd Jacquesa do pokoju – głos Ala brzmiał niezwykle stanowczo – Postaraj się doprowadzić go do porządku, ja za jakiś czas przyjdę z nim porozmawiać. Aha, i nie zostawiaj go do tego czasu samego. OK? Niestety, będę musiał przesłuchać was wszystkich. - Chciał jeszcze coś powiedzieć gdy wtem drzwi do kuchni otworzyły się i wyszła stamtąd starszuszka mała i pokurczona, w zielonej chustcinie i z całkiem zgrabną, srebrną laseczką w reku. Torując sobie nią przejście wśród zebranych przykuśtykała przez cały hall i na chwilę zatrzymała się przy wejściu do spiżarni. - Ano, doigraliście się - zaskrzeczała - A mówiłam, ostrzegałam... Nikt nie chciał mnie słuchać. Tak, tak, macie za swoje... - I podreptała dalej.

Spoglądali po sobie z dość głupimi minami.

- Na Boga, a któż to taki?- krzyknął Jerry Fracklin, gdy drzwi frontowe z trzaskiem zamknęły się za nią.

- A taka... płacze się tu czasami...- burknął niechętnie Mario - Znowu ją lichy przyniosło...

x x x

Powolutku zebrani w sieni goście zaczęli rozchodzić się do swych zajęć. Dr Georg i Marco Piccolo poprzedzani przez zatroskaną Bell wnieśli zemdłego Jacquesa do „dziewiątki”. Mario udał się do swego mieszkania, aby za pomocą krótkofalówki zawiadomić o zasztych wypadkach posterunek żandarmerii w Bad-Luttendorf. Prof. von Sydlack i Dominique doszli do wniosku, że wprowadzie ostatnie wydarzenia mroźną krew w żyłach, ale nie ma żadnego powodu, by rezygnować z lunchu. Co postanowi-

wiwszy podążyli do kuchni przygotować mocno spóźniony posiłek.

Chwilę potem na ganku kuchennym rozległo się głośnie tupanie i do środka weszło kilka osób w kolorowych narciarskich kombinezonach.

Nie sprawiali wrażenia bardzo przerażonych lawina, choć już od progu dopytywali cię, „czy aby coś się komuś nie stało?”. Prof. von Sydlack, który zawsze, nawet w najtrudniejszych okolicznościach umiał zachować godność i powagę, podszedł do nowoprzybytych i zaczął im coś cicho tłumaczyć. Al myślał właśnie, że nie chciałby obwieszczać nikomu tak smutnej nowiny, gdy nagle niezwykle wysoki dźwięk przeszył powietrze. Ładna Mulatka, o buzi apetycznej jak mleczna czekoladka rzuciła się do drzwi spiżarni i z rozpaczliwym jękiem padła na ziemię. Zrywając z siebie rękawiczki, czapkę, szalik i co tam jeszcze miała, wita się po podłodze i krzyczała żałośnie.

- Ciekawe, czy to żałobne zawrodożenie to tylko pozostałość plemiennej tradycji czy też Jane M’lina rzeczywiście była złączona z Mike’em jakimiś silniejszymi więzami? - zastanawiał się Al idąc na górę, by porozmawiać z Jacquesem. - Trzeba będzie to potem zbadać. - Nie doszedł jeszcze do połowy stopni, gdy przy końcu korytarza, mniej więcej tam, gdzie znajdowała się zajmowane przez Jacquesa „dziewiątka” padł strzał. Al rzucił się pędem w tamtą stronę. Drzwi do pokoju ustąpiły bez trudu. Jacques leżał na brzegu szerokiego, wygodnego tapczanu łożko przykryte było kocem w wesołych, zdecydowanych kolorach, w głowach leżały dwie miękkie, haftowane poduszki. Wszystko utrzymane było w żywej, czerwonej tonacji i Al nie odniósł wrażenia dysonansu spostrzegłszy cienką stróżkę purpurowej cieczy spływającej na koc spod głowy Jacquesa.

- Czyżby to on zabił Mike’a? - zdziwił się -

nie wyglądał na takiego!

Czyjeś szybkie kroki rozległy się na schodach i skrzypiącej podłodze piętra. W otwartych drzwiach pokoju ukazał się Mario zdyszany, pobladły i jakby wystraszony.

- Al... słuchaj - zaczął rwącym się głosem, z trudem łapiąc oddech.

- Al... jesteśmy odcięci.. krótkofalówka... nie działa...zepsuta!!!

ORIGINAL OTRYT CRIME STORY!!!

NEVER PUBLISHED BEFORE!!!

UWAGA: WIELKI KONKURS Z NAGRODAMI NA NAJLEPSZY TYTUŁ!!!

I TY MOŻESZ ZWYCIĘŻYĆ!!!

SZCZEGÓŁY JUŻ W NASTĘPNYM NUMERZE

ARIANE O’HENC

„Zbrodnia w wysokich górach”

tyt. oryginału: „A Crime in the High Mountains”

tłum. z angielskiego: Kici Koci.

... i spraw jeszcze Boże żebym w nowym roku nie przeżył już drugiego takiego dnia jak dzisiejszy. - Al skończył swą wieczorną modlitwę i z ciężkim westchnieniem położył się do łóżka. Czuł się zupełnie wyczerpany. - Chyba się zestarzałem - pomyślał, - Boże, ileż to dawniej spraw mogłem równocześnie prowadzić. Bywało, że przyjeżdżaliśmy dziennie po kilkaset kilometrów, z jedne-

go obwodu do drugiego. Spałem w drodze, jadłem w drodze, a po przyjeździe i pobieżnych oględzinach terenu upijaliśmy się z towarzyszami do nieprzytomności. A rano znów w drogę.

Mój Stiopa na oczy ledwo widział, ale jechał. - Ale wy to też, Aleksandr Bolestawowicz, macie zdrowie - z podziwem kręcił zaspną głową i z fantazją dociskał gaz. Kiedyś najechał na wlokącą się poboczem furę z sianem. Woźnica poczciwina w jakimś waciaku i zawiązanej pod brodę czapce-uszatce, zlął z góry i dalejże pyskować, straszyć komendantem milicji, przewodniczącym kotchozu i Bóg wie kim jeszcze. Ale Stiopa nie w ciemności trzy słowa mu tylko na boku powiedział i chłopina z miejsca spokorniał, zmiżerniał, brudną czapkę ze łba ściągnął /choć było wcale zimno/ jąkać się zaczął i przeproszać. Ech, to było życie... No tak, ale i potem, w Kalifornii, też nie można było narzekać na brak rozrywek. Do Ameryki wysłano go poniekąd służbowo /choć nie czyniono wokół całej sprawy zbędnego hałasu/. Ot, tak, żeby się zorientował, jak tam teraz za oceanem sprawy stoją. Z początku pojechał do Chicago. Cholernie mu się to miasto spodobało. Zaczął nosić dwurzędową marynarkę i szary kapelusz. W ogóle świetny kraj - powoli utwierdzał się w tym przekonaniu - Moskowska była i Stoliczna. A jakże, oryginalne. Przez pierwszy miesiąc kupował codziennie po dwie butelki i mimo to jeszcze mu starczyło z pensji na mały, kolorowy telewizorek. Po dwóch miesiącach kupił sobie motocykl, a po czterech zupełnie przyzwoitego Buicka. Nie ma co ukrywać, spodobało mu się takie życie. Napisał do swojego szefa, że zwalnia się z roboty. /Potem, po latach dowiedział się, że był to ostatni list, jaki ów biedak przeczytał w swym życiu - szlag trafił go podobno na miejscu/. Al zatrudnił się w swojej branży w San Francisco i dostał razem z drugim gościem Bobem kilkanaście brudnych ulic w jednej takiej dzielnicy. Ech, Chinatown. Boba znaleziono z nożem

w piersi trzy tygodnie później. Jemu samemu wypolerowane ostrze mignęło przed oczyma następnego dnia, ale okazał się szybszy. Tak, pamięta, że dostał wtedy od starego tydzień wolnego i skrzynkę Moskowskiej w prezencie od chłopców i tak lata szybko mijały, aż któregoś dnia dostał skrzynkę Moskowskiej jako pożegnalny prezent od całego posterunku... - Al odłożył książkę, którą bezskutecznie usiłował od kilku minut czytać. Nie, to co dzisiaj się tu wydarzyło stanowczo nie było na kego nerwy. Dwóch nieboszczyków, lawina, tajemnicze znikanie pewnych osób, plotki, zwierzenia, sensacje.

Śmierć Jacquesa była bez wątplenia samobójstwem. Na podłodze, obok łóżka na którym leżał zmarły fotograf znalazł mały, damski pistolet - taki, jakim kobiety zwykły straszyć napastników. Roztrzęsiona Bell, paląc jednego papierosa za drugim opowiadała, że tylko na chwilę wyszła do swego, sąsiadującego zresztą pokoju po środki uspokajające dla Jacquesa. Szukała właśnie w swojej walizce, gdy nagle usłyszała strzał za ścianą. Biedna Bell wyglądała na zupełnie załamana.

Znała Jacquesa od lat. Był jednym z jej pierwszych pacjentów, gdy jako młoda absolwentka psychologii zaczęła pracować w Institute J. J. Rousseau przy Uniwersytecie Genewskim. Zrozumiała, że po tylu latach ciężko jej się było z nim rozstawać. Al wypytywał ją o Jacquesa; przyczyny jego depresji a zwłaszcza ostatniego jesiennego załamania.

- To był taki wrażliwy chłopak - opowiadała Bell - naprawdę bardzo delikatny. Tylko czasami wplątywał się w jakieś głupie albo podejrzone historie. Potem często nie mógł sobie dać rady z konsekwencjami. Tym razem to była jakaś bardzo nieprzyjemna sprawa. Jacques nie chciał mi nic o tym powiedzieć, dopiero tutaj, kilka dni temu, zdradził mi kilka szczegółów, ale też niewiele. Wyczułam, że miało to związek

z jakimiś osobami stąd. Nie bardzo zresztą rozumiałam, o co mu chodzi. Miał zły dzień, mówił bardzo szybko, chaotycznie i tylko po francusku. Nie chciał przejść na niemiecki, powiedział, że brzydzi się tym językiem i nie będzie już nigdy się nim posługiwał. - Il parlait des quelques photos tres piquantes /tak powiedział - tres piquant/ pour Andre... - Bell zawiesiła głos. Ale ja nie sądzę, nie, nie, jestem pewna, że to nie ma nic wspólnego z Andym. On jest taki uroczy, taki czarujący. Może nie lubię... nie lubili się specjalnie z Jaquesem, ale to niemożliwe, żeby Andy miał cokolwiek wspólnego z jakimiś brudnymi sprawami.

Al zgodził się, że Andy to wyjątkowo uroczy i czarujący facet a ponieważ nie można było z zapłakanej Bell wyciągnąć żadnych więcej informacji podziękował jej grzecznie za rozmowę i wyszedł.

Po lunchu, który mimo wszystko odbył się jak co dzień, Al zapukał do pokoju Andy'ego. Przyjęto go z umiarkowanym entuzjazmem. Gospodarz ubrany jedynie w bryczesy i kusy bawełniany podkoszulek, zamierzał właśnie złożyć wizytę angielskiemu małżeństwu spod „piątki”. Pod pachą trzymał do połowy opróżnioną butelkę dżinu, zdaje się, że chlapnął sobie już co nieco po posiłku. Prośba o chwilę rozmowy skwitowana została nieokreślonym ruchem ramion, po czym Andy rzucił się razem z butelką na niski tapczan stojący pod oknem. Al, spytawszy o pozwolenie, zajął miejsce na krzeselku obok drzwi i oględnie, nie zahaczając na razie o właściwy powód wizyty zaczął wypytywać młodego człowieka o jego przeszłość, zainteresowania, znajomości. Andy udzielał informacji obojętnie co pewien czas zerkając ostentacyjnie na zegarek.

W końcu odkręcił butelkę i jednym ruchem wlał sobie do gardła kilka łyków. - Pociągniesz, Al? - zaproponowała. - A tak... ty nie pijesz - odpowiedział sam sobie po chwili i znowu przechylił butelkę.

- Eeee, nie... - zreflektował się - to przecież Derek nie pije, wszystko mi się już myli. No, Al, nie napijesz się ze mną? - Al poprawił węzeł wspaniałego czarnego krawata, odchrząknął i podziękował, wyjaśniając, że zamierza zacząć dziś picie dopiero po ósmej wieczorem. Dalsza rozmowa przebiegała bez specjalnych rewelacji. Andy nie okazywał bynajmniej oznak zaniepokojenia na pytania związane z Jaquesem. Znał go niewiele - opowiadał - słyszał, że był wątłego zdrowia, jakieś załamanie nerwowe, czy coś takiego, prawda? Można się więc domyślać, że nie wytrzymał psychicznie napięcia wywołanego ostatnimi wydarzeniami. Andy spotykał go tylko w górach, nie byli bliżej zaprzyjaźnieni... i tak całkiem swobodny i trochę już pijany gawędził leżąc na swym wygodnym tapczaniku. Dopiero, gdy pod koniec rozmowy padło pytanie dotyczące Mike'a, Andy nieznacznie począł się denerwować. Nie wiadomo po co kilka razy zapewniał, że nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą, jego alibi jest niepodważalne, może je poświadczyć kilka osób /zdawał się nie pamiętać, że także z Alem jeździł na nartach tego dnia/. Przedstawiał Mike'a jako swego najlepszego przyjaciela, jeszcze z czasów szkolnych, gdy razem uczęszczali do ekskluzywnego Eton College. Później ich drogi rozeszły się. Mike zaczął studiować prawo w Oxford, on - Andy zajął się przyjemniejszymi rzeczami. Zawsze jednak trzymali się blisko. Na pytanie o znajomych, przyjaciół, ewentualnie wrogów Mike'a zapewnił raz jeszcze o swym głębokim uczuciu dla zmarłego.

Wrogowie? Mike? Nie, nigdy nie słyszał żeby się komuś naraził. Z bliższych przyjaciół to chyba Bo i Derek. Wprawdzie oni na stałe mieszkają w Londynie ale Mike wpadał do nich dość często. Podobnie zresztą jak i on... Kto jeszcze? Nooo... Jest jeszcze taki jeden Chris, mieszka niedaleko, w Bristolu, ale teraz włóczy się gdzieś po świecie, ostatnio widziano go podobno na polderach w Holandii. Kobiety? Haha, kobiety? No, tak, właściwie nie powinien...

- Tu Andy zniżył głos i wyjaśnił, że wprawdzie była to najskrytsza tajemnica Mike'a, o której tylko oni dwaj wiedzieli ale teraz i to właśnie Ałowi może chyba powiedzieć, że Mike od wielu lat kochał się bez wzajemności w Alexis, tej rudej Włoszce z Mediolanu. Nikt o tym nie wie, a najmniej z pewnością sama Alexis. Mike był taki nieśmiały...

Rozmowa trwała jeszcze około kwadransa, nie przynosząc więcej istotnych informacji. Andy robił się coraz bardziej śpiący i powtarzał po kilka raz te same rzeczy. W końcu nucąc modny przebój: „You're my sweetheart, Joan” usnął z głową przy pustej flasce. Al usunął ją delikatnie, aby biedak nie zrobił sobie krzywdy i przykrył go wzorzystym pledem.

Dochodziła piąta. Korytarz pogrążony był w ciemnościach i Al nie zauważył czarnej koszuli, którą miał na sobie. Schodząc uderzył się boleśnie rzeźbioną końcówką poręczy.

Na dole przez otwarte drzwi kuchni usłyszał jak Dominique i prof. von Sydlack omawiali menu wieczornego posiłku. Dominique proponowała soupe aux tomates, omelette du Mount-Saint-Michel, filet de boeuf a la sauce Madere, pommes-frites, puree de marrons, carottes a la Pompadour, fromage i charlotte de pommes na deser. Profesor wolał raczej Eintopf, argumentując, że to bardzo zdrowa, nawet dość smaczna, a przy tym prosta w przyrządzeniu potrawa. Obie strony przedstawiały rozsądne argumenty i dyskusja z każdą minutą stawała się coraz bardziej żywa.

- Je ne mangerai pas cette cochonnerie - piekliła się Dominique.

- Ich werde nicht in der Küche ganze Nacht sitzen - grzmiał profesor. - Ciekawe, co będziemy jedli dziś na kolację - pomyślał Al i postanowił pozostawić ich samych.

W sali kominkowej było tylko kilka osób.

Młodzi Fracklinowie, Marc Smith i Felipe grali w brydża, obok pochyleni nad szachownicą w pełnej napięcia ciszy trwali Dr Georg i generał McArthur. A pod oknem, chmurny, zbolaty, o bladym czole i ściągniętych posępnie brwiach, wpatrując się w pustą kartkę papieru siedział Andreas Illitsch. Poeta i myśliciel, otoczony aurą tajemniczości, a nawet metafizycznego niepokoju, cieszył się wśród wszystkich gości wielkim poważaniem. - Pewnie tworzy poemat - pomyślał z szacunkiem Al i dyskretnie oddalił się, by nie niepokoić swą obecnością poety i jego natchnienia. Przy stoliku brydżowym Felipe i Marc Smith kłócili się, kiedy powinno się zgłaszać starsze, czwórki, a kiedy piątkę. Przytaczali opinie znawców, słynne wylicytowane szlemy i zmarnowane kontrakty, powoływali się na wyrafinowane konwencje i renomowane podręczniki. Tymczasem Jerry...

- Jerry, Jerry Franklin! Niestety, ale ty cały czas patrzysz w karty Marca! Isabel stała niewzruszenie na straży uczuciowości. Jerry spojrzał w górę z miną niewiniątka ale zaraz roześmiał się szelmowsko i posłał jej ręką buziaka.

Nikt nie zauważył kiedy drzwi otworzyły się i do środka weszła ta sama mała i pokurczona staruszka, która nie wiadomo skąd zjawiła się już wcześniej w hallu. Podeszła do stołu...

- Gdzie jest cukierniczka? - trąciła bezceremonialnie w ramię pogrążonego w grze generała McArthura.

- W kredensie - odpowiedział nie podnosząc nawet głowy znad szachownicy.

- A Baba Jaga?

- W domku na kurzej stopce.

- No, dobra - zerknęła mu przez ramię, przestawiła dwa pionki na planszy - szach i mat - powiedziała i nie troszcząc się wię-

cej o cukiernicę, wyszła na zasypany śniegiem taras. Generał McArthur i Dr Georg patrzyli w osłupieniu na stojące przed nimi figury...

- Chyba mi się przywidziało - doszedł do wniosku Al i spojrzał na zegarek. Do ósmej brakowało jeszcze ponad dwóch godzin. Przez korytarz i tylne drzwi wyszedł na ganek.

Sypał drobny, suchy śnieg. Warstwą delikatnych, suchych granulek zasypywał ślady na ziemi, oczyszczone przez Maria stopnie, wciskał się w załamania dachu, ramy okienne, szpary w ścianach. Dookoła trwała cisza absolutna pierwotna, nie zmącona powiewem wiatru, żadnym dźwiękiem ani zbędnym ruchem. Al zatrząsł się z zimna, ale mimo wszystko zszedł kilka stopni niżej, tam gdzie widoku nie zastaniała mu już spadzista ściana dachu. Wychylił się w bok, ale śnieżna mgła czyniła rzeczywistość jednolitą i szarą. I wtedy właśnie zauważył na śniegu świeże zupełnie ślady nart, prowadziły od schowka pod schodami w prawo, wokół narożnika budynku i dalej w dół w stronę polany, lasu i nocy.

Wyglądało to, jakby kilka minut wcześniej ktoś wyruszył na tajemniczą, nocną wycieczkę. Al zajrzał do schowka - wśród nart długich i krótkich, nowych i starych, błyszczących i odrapanych zauważył od razu brak wspaniałych opalizująco-śliwkowych Polsportów Frau Dorothei.

- Frau Dorothea? - ze zdziwieniem pomyślał o ich instruktorce narciarskiej, pod której czujnym okiem stawał przed laty pierwsze kroki na śniegu. Przeszukał buty w hallu i tu również nie znalazł jej nowych nieskazitelnie bladorożowych Dachsteinów. Al wszedł na górę i sprawdził pokój na drugim piętrze, wypytywał pozostałych gości, kierownika schroniska w końcu było już jasne - Frau Dorothea zniknęła.

- Jaki to ma związek z całą sprawą - zacho-

dził w głowę Al, przywołując na myśl surowe wejście i niezachwiany kręgosłup moralny ich sportowej przewodniczki.

Przed kolacją zdążył jeszcze porozmawiać z Alexis, która wśród mnóstwa drobnych i prawdę powiedziawszy nużących go ploteczek z życia mieszkańców schroniska obwieściła mu prawdziwą rewelację. Pokój Alexis przylegał ścianą do pokoju Mike'a, a wiadomo, że przepierzenia nie są specjalnie solidne. Jeśli ktoś podniesie głos wszystko słychać. Poprzedniej nocy Alexis nie spała do późna - czytała. Koło dwunastej poszła na koniec korytarza do Andy'ego, żeby pożyczyć papierosy. W pokoju nikogo nie zastała, wróciła więc do siebie i czytała dalej. Nagle zza ściany dobiegł ją odgłos szamotaniny i podniesiony, wściekły głos Andy'ego: „Jak się od niej nie odczepisz, to ci łeb rozwalę, zapamiętaj to sobie!”. Alexis nie wiedziała o kogo chodziło, ale podejrzewała, że dotyczy to kogoś przebywającego obecnie w schronisku. Frau Dorothea, a może Jane M'lina... - snuła domysły.

- A może ty - pomyślał Al i pożegnał się z Alexis prosząc na odchodnym, aby nikomu nie powtarzała treści tej rozmowy.

Dochodziła ósma i czas było napić się pysznej wódeczki.

- Jane M'lina... Alexis... tańczyły mu wszystkie przed oczyma, gdy pił pierwszy kieliszek wybornie schłodzonej Moskovskiej. - A może Frau Dorothea - myślał dalej... Skończył myśleć przed dziesiątą, przebrał się w piżamę i wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi.

- Ależ proszę bardzo - zawołał uprzejmie i serdecznie., Do pokoju wślizgnęła się Bo, cała w czarnych, powiewnych peniuarach.

- Al, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia - oświadczyła uroczyście.

- Ależ, proszę bardzo - rzekł jeszcze uprzejmiej uśmiechając się przy tym z pełnym zakłopotania rozbawieniem.

- Frau Dorothea prosiła, żeby ci to przekazać, ale dopiero po kilku godzinach. Obawiała się, że będziesz się starał ją zatrzymać... Pojechała do Bad-Luttdorf na policję. Możemy tu siedzieć jeszcze kilka dni i nikt z zewnątrz nie będzie wiedział, co się z nami dzieje... A tymczasem Bóg jeden wie, co się tu jeszcze może zdarzyć. - dodała posępnie zawieszając głos. - Ona zna tu wszystkie trasy, powinna w kilka godzin dojechać...

- Aha... - Al wyobraził sobie Frau Dorotheę mknącą w dół na swoich śliwkowych /opalizujących/ deseczkach. - Bo?... - zaczął - gdybyś usłyszała Andy'ego ostrzegającego Mike'a, żeby odczepił się od jakiejś dziewczyny, to jak sadziłabyś, o kogo może mu chodzić? - Bo popatrzyła na niego z niedowierzaniem - No, co ty? Chyba jasne, że to Jane M'lina. - I z nią osoby niepewnej, czy z niej nie kpią, wyszła z pokoju.

- Aha - pomyślał Al i zgasił lampę. Niedługo miał się zacząć ostatni dzień starego roku.

Marco Piccolo obudził się nieco później niż zazwyczaj. Przeciągnął się w łóżku parę razy, potarł zaspane oko i czule, niemal jak kochankę, pogładził leżąc obok czerwoną gitarę.

- Chyba będziemy mieli dziś ładny dzień - pomyślał, z przyjemnością zauważając wpadające do pokoju promienie słońca, Ale po chwili przypomniał sobie gdzie jest, kim jest /choć tego nigdy do końca nie był pewien/ i - co najgorsze - jak jest.

- Boże, wszystko bez sensu. Znowu kolejny dzień. Skończy się pewnie jak sto poprzednich. Możliwe, że runie dziś kolejna lawina, albo zginie kolejna osoba - Ale w moim życiu nic się przez to nie zmieni. Chyba, żebym to ja był... Może tak byłoby zresztą najlepiej...

Ale nic z tego, będzie zwyczajnie, najzwyczajniej. I tak samo jutro i pojutrze i popojutrze i przez całe życie. A mi kiedyś marzyło się... Zresztą czy świat straciłby coś, gdyby było mniej o jednego faceta? Z tych niewesołych, a nawet poniekąd ponurych rozmyślań wyrwało go nagle energiczna pukanie do drzwi i na wskroś życzliwy głos Belli:

- Marco! Marco, pospiesz się, śniadanie już gotowe. Coś bardzo ładnie pachnie na dole!

- Idę, idę... odkrzyknął, z zadowoleniem konstatując, że czuje głód.

- Dobrze, że co pewien czas trzeba uzupełniać zapasy w żołądku, inaczej zupełnie nie byłoby co robić - pomyślał.

Śniadanie, ostatnie śniadanie w starym roku przygotowywała już inna niż poprzedniego dnia para kucharzy. Tym razem byli to Alexis i Felipe. Oboje mocno ubolewali, że przyszło im gotować w ten skądinąd wesoły i uroczysty, ale dla kucharzy bez wątpienia pracowity dzień.

Głośno obwiniali o to swój życiowy pech, a zwłaszcza brak szczęścia we wszelkiego rodzaju losowaniach.

I rzeczywiście - jakby na potwierdzenie ich słów, od samego rana zupełnie im się nie wiodło. Najpierw Felipe nie mógł rozpaść pod kuchnią, potem Alexis zacięła się w palec świeżo naostrzonym nożem, a na koniec, jakby dla dopełnienia wszystkich nieszczęść, popchnęła stojący na krawędzi pieca garnek z makaronem. I w ten sposób niemal połowa ich pysznego spaghetti znalazła się na podłodze. A tu już zaczynają się schodzić na śniadanie, dopytują, co też tak ładnie pachnie. Dorobili więc naprędce trochę kanapek, żeby zapchać czymś głodne gęby, ale sami pachnącego smaczkowicie makaronu ze szpinakiem nawet nie spróbowali.

Przy długim stole w sali kominkowej zebrałi się już chyba wszyscy. /Wszyscy pozostali przy życiu, ma się rozumieć/. Siedzą tak obok siebie: niewyspani i już utrudzeni kucharze, milczący, ale bacznie obserwujący wszystko Mario, długi Dr Georg, Al w ciemnym garniturze, generał MacArthur razem ze swoją generałową, ukrywający oko za szkiełkiem prof. von Sydlack blady Andreas Illitsch, Bell spowita w żałobne szaty, niezupełnie dobudzeni Isabel i Jerry, nieruchoma twarz Marca Smitha, wyglądający na poważnego i godnego zaufania przedsiębiorca Derek i jego lubiąca mężczyzn, wino i śpiew żoneczka, Jane M'lina z posępną buzią, demoniczna Dominique, Marco Piccolo z nieodłączną gitarą-kochanką.

...Zaraz, ale kogoś brakuje... No, tak nie ma tu Andy'ego. To jego nietknięta jeszcze porcja dymi apetycznie na ladzie kuchennej, aż przechodzący obok rzucają na nią pożądliwe spojrzenia. Ooo... jest nareszcie! Andy - z podkrążonymi oczyma i zmęczoną twarzą - ale jest, pokazał się w końcu na dole!

- Jezu, ale mnie też napieprza. - rzucił na powitanie i ręką sięgnął do skroni. Nikt nie wątpił w prawdziwość jego słów. Chwiejnym krokiem podszedł do kuchennego okienka, podejrzliwie popatrzył na stygnące spaghetti, ale wzięwszy zarówno talerz jak i duży kubek mocnej herbaty, usiadł przy stole obok Felipe. Słońce świeciło mu wesoło w oczy.

- Ty, to ja z tobą piłam wczoraj? - spytał słabym głosem.

- Hehe, nie. Ze mną to ty piłeś przedwczoraj - wyjaśnił mu czegoś dziwnie rozbawiony Felipe...

- Taak? - wymamrotał ze zdziwieniem Andy. Pogrzebał łyżką w makaronie i z obrzydzeniem odsunął talerz. - Tfu, świństwo. Na mdłości mi się zbiera od samego zapachu

- wypił duszkiem pół kubka herbaty.

- Nie masz apetytu, Andy? - współczujący głos Felipe zabrzmiał cokolwiek obłudnie. - Słuchaj, tylko się nie zmuszaj. Najgorzej to się zmuszać. Wiesz, ja mogę zjeść tę twoją porcję. Prawdę powiedziawszy nie próbowałem nawet tego - i już wyciągnął rękę po talerz.

- A jedz sobie - mruknął Andy. Ale dostanę puszkę piwa z lodówki, O.K? - Dobra, po śniadaniu - zgodził się Felipe zabierając się do jedzenia.

- Słuchaj, chyba nie sądzisz, że pozwolę ci samemu zjeść całą porcję? - niestety Alexis tuż siedziała tuż obok.

- Nie, nie sądzę - z rezygnacją zgodził się Felipe i podsunął jej talerz...

łyżka wypuszczona z jakiejś osłabłej nagle dłoni upadła i z brzękiem potoczyła się po podłodze /czyjaż była to ręka, czyja?/. Ktoś wyszedł na papierosa, ktoś siedział przy kominku, ktoś tęsknie spoglądał przez oblodzone okno.

Wtem...

...Felipe przestał jeść, oczy miał szeroko, jakoś nienaturalnie rozwarłe, chwycił się za gardło, usiłował coś powiedzieć, nabrać powietrza w płuca, odetchnąć... Nie zdążył...

Alexis patrzyła na niego zdziwiona i przerażona, nagle w ostatniej niemal chwili zrozumiała. - Spaghetti - szepnęła zbieleńcami wargami...

Po kilku sekundach osunęła się w ślad za Felipe na ziemię.

- Jesus... - Andy oparł się o ścianę. Jego twarz przypominała białą maskę cyrkowego kłowna.

Na tym koniec, Ariane nie rozwiązała zagadki kryminalnej ale zgodziła się, żeby zrobił to ktoś inny. Napiszemy więc: „ciąg dalszy nastąpi” i ogłaszamy konkurs na dokończenie kryminału, wyjaśnienie zagadki ale można też np. zostawić zagadkę bez wyjaśnienia wykańczając wszystkich pozostałych przy życiu bohaterów. Wymyślcie coś, mogą być gangsterzy, szpiegdy, ponadnarodowe koncerny i mafie albo kosmici. Duchy też i czary a nawet Czerwony Kapturek lub Rozbójnik Rumcajs.

Ogłaszamy konkurs na dokończenie opowieści kryminalnej z Mt. Saint Otryt. Warunki? Żadne ale objętość tekstu nie powinna nadmiernie przekraczać objętości tego, co już jest, tekst może być krótszy.

Termin nadsyłania prac:

do końca sierpnia br. na adres: biuletynotrycki@gmail.com

Prosimy – piszcie. Poznajmy zakończenie tej kryminalnej historii, sama autorka – Ariane O’Henc - ciekawa jest bardzo jak skończy się intryga, którą kiedyś wymyśliła. Liczymy na Was. Osobie, której tekst opublikujemy wręczymy albo wyślemy nagrodę. Jest nią książka:

Adam Szary
„Tajemnice bieszczadzskich roślin wczoraj i dziś”

I te nazwy, wspaniałe, niesamowite, wywołujące rozmaite skojarzenia i prowokujące do użycia np. w kłótni, jako inwektywy „Ty LEPIENNIKU WYŁYSIAŁY!”. Można? Czemu nie.. Albo łagodniej – „Jesteś jak STARZEC GAJOWY!” Albo BODZISZEK CUCHNĄCY. Ciekawe skądinąd jak smakuje nalewka z tego ostatniego, bo autor książki podaje przepis. Nazwanie kogoś KUKLIKIEM ZWISŁYM raczej nie byłoby wskazane, lepszy jest jednak CIEMIĘZYK BIAŁOKWIATOWY lub CZARCIKĘS ŁĄKOWY. Natomiast określenie kogoś jako BNICZ CZERWONY sugeruje krytykę poglądów i postawy ideologicznej. KOZIBROD WSCODNI opisze nam odpowiednio zarośniętą osobę. Z kolei określenie upierdliwca jako UCZEP TROJLISTKOWY lub KRWIŚCIAĞ LEKARSKI; mistrz siekiery i piły może zostać WIELOSIŁEM BŁĘKITNYM.

Botaniczny dialog pary może wyglądać tak:

On: Moja ty MIŁOSNA GÓRSKA, PRZYTULINKO WIOSENNA...

Ona: JEŻYCZNIKU ZWYCZAJNY ty mój, PROSIENICZNIKU JEDNOGŁÓWKOWY...!

On: Uważajmy, tu gdzieś czai się PODEJŹRZON KSIĘŻYCOWY!

A potem się pokłócą i będą sobie ubliżać, on nazwie ją CZARTAWĄ POSPOLITĄ, FIRLETKĄ POSZARPANĄ i PĘPAWĄ BŁOTNĄ, na co ona odwzajemni się zarzucając onemu, że jest niczym TRĘDOWNIK BULWIASTY i ŚWIERZĄBEK KORZENNY a nawet UKWAP DWUPIENNY.

Inni, spokojniejsi, będą długo zastanawiać się jaka jest różnica między TURZYCĄ DRŻĄCZKOWATĄ a DRŻĄCZKĄ ŚREDNIĄ, litować nad WILŻYNĄ BEZBRONNĄ, RUDBEKIĄ NAGĄ i TRZĘŚLICĄ MODRĄ. Ożywioną dyskusję wywoła też PRZYTULIA CZEPNA – przytula się to czy raczej czepia oraz ZŁOĆ ŻÓŁTA ze względu na kolor. A na pożegnanie będzie KIELISZNIK ZAROŚLOWY i ROZCHODNIK KARPACI.

Adam Szary
Tajemnice
bieszczadzskich roślin
wczoraj i dziś





W LISTOPADOWYM LESIE

SALMA ALDOORY

*W obecnej sytuacji panującej tuż przy naszej granicy trudno
jest mi wracać do ciepłych chwil.
Moja głowa i serce są przy Ukrainie...*

*Listopadowy wypad z Otryckim Dziadkiem i Gabi- moja pierwsza,
choć na pewno nie ostatnia wizyta w jesiennych Bieszczadach. Balti
przywitał nas ogromnym uśmiechem. Gabi pięknie uchwyciła mnie
w objętywnie, Andrzej znalazł pięknego chabra. Ja, może nie pięknie,
choć całkiem udolnie nakreśliłam na kartkach klimat tego wietrznego
weekendu.*

*Dziadku, poproszę jeszcze jeden słoiczek dżemu z czarnego bzu.
Gospodarzu, wielkie dzięki za tak miłą gościnę i do zobaczenia
w niedługim czasie!*



fot. Anna Stachurka

PRZEPIŚNIK OTRYCKI



CIASTO DROŻDŻOWE NA OTRYCIE

KAROLINA STOPA-OLSZAŃSKA

Ciasto drożdżowe nie zawsze wychodzi. Generalnie, to podobnie jak sernik – jednemu się udaje, innemu nie. Do najbardziej spektakularnych moich prób należało pieczenie drożdżówki na Otrycie, w duchówce. Pięknie się wyrobiło, a jakże, wyrosło.

- Tato – wrzeszczałam przez komórkę na balkonie. – ile to się ma piec? - 45 minut!

Po 15 z wnętrza duchówki wydobywać się zaczęły kłęby czarnego dymu. Chyba coś poszło nie tak. I to nawet bardzo, bo piec był za gorący. Tak że pamiętajcie, jeśli zamierzacie przyrządzać ciasto na Górze, sprawdźcie najpierw jaką temperaturę ma piec. Bo inaczej smakołyk trafi na stół pięknie spalony z wierzchu, a półsurowy w środku.

Popłakałam się wtedy prawie, bo to był mój debiut ciastowy. Ząbek i spółka zaciągnęli mnie wtedy do służbówki, pocieszali, poili nalewką i opowiadali kawały o Czerwonym Kapturku.

A ciasto i tak pożarli całe, choć kruszonką też była czarna.

A najważniejsza w dobrej drożdżowce jest kruszonka.

Najlepiej duuużo!

Składniki ciasto:

- pół garnca (5 szklanek) mąki
- jedna i pół kwaterki letniego mleka (15 łyżeczek lub 7,5 łyżek)
- 2 łyżki drożdży
- 7-8 jajek
- szklanka cukru
- szklanka masła

(wszystko w jednakowej, pokojowej temperaturze)

Składniki kruszonka:

- ok. szklanki mąki
- 6 łyżek cukru
- 6 łyżek miękkiego masła (można sklarować i wlać ciepłe, acz nie gorące w mąkę z cukrem)

Wymieszać dokładnie dokładnie i rozkruszyć, a potem posypać ciasto.

Zasady:

- Piec nagrzać od razu po wejściu do kuchni.
- Najlepsi do rozpalania pieca są Czyżyk oraz Tomek i Wołodia.

Jak sprawdzić czy piec ma właściwą temperaturę?

Ja to robię na wycucie, teraz już instynktownie - na pewno lepiej nie wsadzać do bratnika ciasta, kiedy na płycie się robi obiad na całego, tylko na samym początku lub po wielkim gotowaniu, gdy piec jest bardzo ciepły, ale nie dokłada się już, jeszcze na maksa. Po dwóch godzinach palenia, w duchowce czy bratniku, bo tak też się nazywa piekarnik w starym piecu, jest w nim gorąco. Jeśli ktoś chce być bardzo nowoczesny, to podobno pirometr laserowy się sprawdza do mierzenia temperatury. Podobno, bo nigdy go nie miałam w ręce. Stosuję starą zasadę - otwieram drzwiczki, wkładam łapkę i mniej więcej oceniam.

Ponadto w kuchni nie ma być:

- przeciągów
- kłótni (ani małżeńskich, ani partnerskich, ani przyjacielskich, ani żadnych)
- hałasów, trzaskania drzwiami
- do ciasta przykrytego ściereczką nie zagląda się co trzy minuty, bo się obrazi i siądzie!

Można czytać w przerwach. Albo banieczkować. Perswadowanie bardzo pomaga, kiedy się czeka na wyrośnięcie.

Przyrządzenie:

Drożdże namoczyć w 0,5 kwaterki (5 łyżeczkach lub 2,5 łyżkach) mleka, rozczynić nimi i resztą mleka mąkę, odstawić ciasto, przykryte ściereczką, do wyrośnięcia w ciepłe miejsce. Musi podwoić objętość.

Potem wlać 7-8 ubitych dobrze jaj, szklankę szklanki cukru, szklankę masła (roztopionego, ciepłego i ma się stapiać powoli, nie wrzeć), szczyptę soli (uważać, żeby nie celować w drożdże), wyrobić z resztą mąki aż zacznie odstawać od ręki. Odstawić pod przykryciem, do wyrośnięcia. Kiedy ponownie podwoi objętość, ułożyć w formie wysmarowanej grubo masłem lub margaryną. Odstawić w ciepłe miejsce, niech znów podrośnie, wyjąć, posmarować gęsto dobrze rozbitym jajkiem, posypać kruszonką i wstawić do rozgrzanego pieca na ok. pół godziny (najlepiej żeby na dole było cieplej niż na górze).

To był przepis stary (nieco zmodyfikowany, bo z połowy składników - normalnie trzeba wziąć garniec mąki, trzy kwaterki mleka... poczciwa Ćwierciakiewiczówna).



Teraz newszy:

składniki ciasto:

- 10 dkg drożdży
- 3 łyżki letniego mleka
- 1 łyżka cukru
- 1 kg mąki
- 5 - 6 jajek
- 1 szklanka cukru
- 2/3 kostki masła
- olejek waniliowy
- szczypta soli
- 1/2 l mleka

Przyrządzenie:

Drożdże rozkruszamy z letnim mlekiem i łyżką cukru w garnuszku, odstawiamy aż lekko podrosną. Podgrzewamy pozostałe mleko i roztopiamy delikatnie masło – obie substancje mają być ciepłe, nie gorące. Mąkę przesiewamy do miski, kiedy zaczyn podrośnie wlewamy go do tejże, dodajemy roztopione masło, wbijamy jajka, dodajemy olejek waniliowy, cukier, odrobinę soli, a na końcu połowę mleka. Wyrabiamy wszystko i kiedy powstanie jednolita masa, wlewamy resztę mleka. Wyrabiamy aż zacznie „odchodzić” od ręki. Odstawiamy, przykrywamy ściereczką i czekamy ok. godziny (czasem więcej) aż podwoi objętość. Potem dzielimy, rozwałkujemy

i wkładamy do foremek. Foremki wstawiamy w ciepłe miejsce, żeby ciasto znów podwoiło objętość. Smarujemy rozkłóconym jajkiem, posypujemy kruszonką, wstawiamy do piecyka, pieczemy.

Najlepiej się takie ciasto je z masłem lub konfiturą i popija kakao.

Składniki kakao:

- kubek mleka
- 2 lub 3 łyżki kakao
- cukier (ile kto lubi)

Przyrządzenie:

Podgrzać mleko z cukrem, do ciepłego, ale nie wrzącego dodać kakao, zagotować, podawać. Jeśli ktoś lubi urozmaicenia i zapchanie się, może podać kakao z pianką (ubijamy białko lub białka z cukrem - może być trzciny i dajemy na wierzch kakao), można obok cukru dodać laskę wanilii (albo cukier waniliowy), lub połączyć kakao z koglem –moglem lub startą i rozpuszczoną w mleku czekoladą...

Ponoć chili też można dodać.

Ale do zwykłego placka, jednak najbardziej smakuje zwykłe kakao.

Smacznego i w Wasze łapki perswaduję!



NALEWKI GROTMAMY

Z MATERIAŁÓW MARKA GROTOWSKIEGO (GROTKA)

W czasach I Rzeczypospolitej oprócz piwa pijano miody sycone, wina, najczęściej węgierskie, zwane węgrzynami, araki (liczne kontakty ze światem orientalnym), ale przede wszystkim polską specjalność – nalewki, w tym miody litewskie, dziś tak często mylone z syconymi.

Polska kuchnia byłaby czymś bardzo biednym i niepełnym bez nalewek. Nalewki w całym swoim bogactwie odmian i rodzajów są ściśle związane z obszarem I Rzeczypospolitej wielu narodów. Na potwierdzenie tego niech posłuży fakt, że próżno szukać w słownikach polsko-angielskich słowa nalewka. Słowo to jest jednak bardzo dobrze znane w języku białoruskim, ukraińskim, rosyjskim (np. popularna w carskiej Rosji „nastojka” na młodych liściach czarnej porzeczki tzw. listkówka), litewskim, no i oczywiście polskim. Każdy dom, szczególnie na kresach: mieszczański, szlachecki czy magnacki, posiadał swoje przepisy na najlepszą tarniówkę, dereniówkę, śliwówkę, morelowkę, nalewkę wiśniową, z czarnej porzeczki, orzechówkę, piołunówkę itp.

Nalewki ziołowe i owocowe na miodzie czy plastrach miodu z dodatkiem ziół i owoców- świeżych czy suszonych, które długo dojrzewały w dębowych beczkach zawierały powyżej 50% alkoholu, powszechnie nazywano miodami litewskimi. Często alkohol do ich robienia był destylatem miodów syconych. Dziś te trunki są bardzo często mylone z miodami syconymi (dwójniakiem, trójniakiem, półtorakiem), których nazwy biorą się z proporcji wody do miodu przed fermentacją.

Nalewki owocowe, w przeciwieństwie do miodów litewskich były zawsze słabsze, miały moc 20-30%. W nalewkach zawiera się mądrość naszych przodków, którzy dobierali je do potraw tak jak inne narody wina: słodkie, wytrawne, półwytrawne, słabe i bardzo mocne (do 75 % alkoholu), ale gama smaków była dużo bogatsza. [...]

Nalewka to w zasadzie nic innego jak wyciąg alkoholowy zwany po łacinie „tinctura”- aptekarze przyrządzają go z ziół leczniczych. Tak więc wznosząc toast nalewka „na zdrowie” wypełniamy to pojęcie treścią, gdyż oprócz alkoholu w napoju jest wszystko to, co zawierają owoce i zioła czy miody, a co jest cenne dla naszego zdrowia. Tak więc nalewka jest najwyższą formą szlachetnych trunków.

Pragnę Podzielić się z Wami moim doświadczeniem w robieniu nalewek. Wiedza ta w mojej rodzinie przechodziła z pokolenia na pokolenie. Nalewki bardzo pasują do polskiego charakteru, gdyż bardzo rzadko można zrobić drugi raz dokładnie taką samą nalewkę. Warunkiem sukcesu jest poznanie i stosowanie zasad, które obowiązują w tworzeniu tego napojów.

I zasada

Owoce do nalewek muszą być bardzo dojrzałe. Dobrze jest po wymyciu owoce zamrozić zanim zalejemy je alkoholem. Dlatego możemy je zebrać wcześniej i przechowywać w zamrażarce. Najsmaczniejsze nalewki udaje się zrobić z owoców bardzo prymityw-

nych odmian, np. nalewkę wiśniową z małych wiśni. Nie nadają się na nalewkę owoce z importu np. morele czy śliwki kalifornijskie.

II zasada

Wtedy, kiedy robimy nalewki wytrawne i nie stosujemy miodu czy syropu cukrowego i przygotowane owoce zalewamy alkoholem w szklanym balonie lub słoju, nie możemy stosować większej procentowości alkoholu jak 65-70%. W przeciwnym przypadku przy zalaniu owoców, np. czystym spirytem nie będzie pełnej ekstrakcji. Najlepiej wymieszać wódkę ze spirytem w proporcji 1l spirytusu 96% z 0,5 l wody i takim alkoholem zalać uprzednio zamrożone owoce. Owoce powinny zajmować 3/4 objętości naczynia (słów, balon), w którym robimy nalewkę. Resztę naczynia wypełnić należy rozcieńczonym odpowiednio alkoholem. Tak zaczyna powstawać każda wytrawna nalewka owocowa, np. z wiśni, dereni, czarnej porzeczki, tarniny, mirabelki, moreli czy aronii.

W przypadku owoców pestkowych (wiśnia) dobrze jest je wydrylować, a pestki zalać w innym naczyniu alkoholem 25%-ym. Czas dojrzewania takiego nalewu to okres 1-3 miesięcy. Wszystko zależy od temperatury – im temperatura wyższa tym czas krótszy.

Po zlanu pierwszego nalewu owoce, które pozostają, delikatnie przesypujemy cukrem lub polewamy miodem, odstawiamy na 1 miesiąc w ciepłe miejsce. Niecierpliwi mogą owoce wycisnąć lub odwirować. W ten sposób uzyskamy drugi nalew mniej lub bardziej słodki. Jeśli będziemy chcieli uzyskać nalewkę o większej procentowości alkoholu, część owoców należy wtedy zawiesić w gazie w szczelnym naczyniu nad spirytem, wlewając do niego najpierw tyle szklanek spirytusu, jaką naczynie ma pojemność, np. balon 10-litrowy – 10 szklanek, (dawniej kwaterek). Następnie przez otwór wpuszczamy gazę i wysypujemy owoce, ale tylko tyle, aby spirytus, który zwiększy swoją objętość o ich sok, nie dotykał ich. Korkujemy szczelnie, okręcamy folią lub zalewamy lakiem i czekamy około 1 miesiąca. Po miesiącu alkohol będzie miał intensywny smak, kolor i zapach owoców. Będzie bardzo mocnym trzecim nalewem.

A teraz czeka nas to, co przy produkcji whisky nazywa się blendowaniem. Rozpoczynamy tworzenie, według swojego gustu, najczęściej na bazie pierwszego nalewu, bo jest w nim najwięcej smaku. Mając do dyspozycji różne nalewy do nas będzie należało ich wymieszanie i uzyskanie pożądanego smaku przez dobranie odpowiednich proporcji. Można przecież tą metodą mieć nalewkę mocną lub słabą, mniej lub bardziej słodką, lub całkowicie wytrawną, a także likier.

Po wymieszaniu, w tylko nam znanej proporcji nalewów, należy rozlać je do butelek, szczelnie zakorkować i leżakować najmniej 6 miesięcy. Pozostałość po naszej produkcji – owoce – np. wiśnie, owoce czarnej porzeczki czy morele można używać do bejcowania dziczyzny, sporządzania sosów, ciast, czy deserów. Najsmaczniejsze są połówki moreli. Tak więc robienie nalew pozwala na spożytkowanie owoców do końca – jest to technologia bezodpadowa.

Lekarze są zgodni, że konkretne nalewki w niewielkich ilościach mogą łagodzić różne dolegliwości. Najpopularniejsza wiśniówka jest uważana za dobry środek na bezsenność. W przeszłości długie biesiady nie obywaty się bez orzechówki, która łagodzi dolegliwości gastryczne. Nalewka z borówek była stosowana, na przykład przez mnichów, jako środek

wspomagający przy leczeniu cukrzycy. Z kolei jałowcówka jest uznawana za dobry lek na przeziębienie. Na zapalenie zatok od wieków stosuje się miętówkę, na kaszel - nalewkę z pędów sosny, na reumatyzm - imbirówkę, a na nadciśnienie – głodówkę

Nalewki - uwagi ogólne

W handlu bywa przeważnie spirytus o mocy 96. Jeżeli chcemy otrzymać spirytus o określonej mocy postępujemy następująco:

- 70 - należy do 1 l spirytusu dodać 0,39 l wody. l odpowiednio:
- 65 - do 1 l 0,5 l wody
- 60 - 0,63 l wody.
- 55 - 0,78 l wody,
- 50 - 0,96 l wody,
- 45 - 1,18 l wody,
- 40 - 1,44 l wody.
- 35 - 1,79 l wody,
- 30 - 2,24 l wody

Należy pamiętać, że przy rozcieńczaniu należy wlewać spirytus do wody, nigdy odwrotnie. Dla uzyskania odpowiedniej mocy, w ten sam sposób - zamiast wodą - można rozcieńczyć spirytus sokiem lub syropem. Należy jednakże pamiętać, że ciężar właściwy cukru wynosi 1,6, a więc 1 kg cukru zajmuje objętość 1:1,6, czyli 0,62 l. Praktycznie z 1 kg cukru i 0,5 l wody otrzyma się 1,6 l syropu.

Niektórzy autorzy radzą, by do słodzenia wszelkich nalew używać syropu wykonanego z 1 kg cukru i 0,5 l wody, którego objętość wyniesie 1,1 l z 90-procentową zawartością cukru.

Nalewki ze świeżych jagód leśnych, np. z poziomek, powinny być macerowane alkoholem rozcieńczonym do 50-60, ale tylko przez 24 godziny, nigdy dłużej. Chodzi o to, by trunek nie nabrał goryczy z ziarenek owoców.

Dla uniknięcia mdławego smaku, przy owocach mało kwaśnych oraz przy niektórych nalewkach ziołowych, do gorącego syropu można dodać nieco kwasu cytrynowego, biorąc go 2-5 g na 1 l trunku. Nalewka ma wówczas lepszy smak, pełniejszą harmonię, ładniejszą barwę i jest klarowniejsza.



IMBIRÓWKA 1

GROTMAMA

Nalewka z imbiru działa przeciwbólowo, przeciwwymiotnie i przeciwzapalnie. Dzięki temu, że ma właściwości przeciwbakteryjne i przeciwwirusowe, jest dobra na przeziębienie i gripę. Polecana także na stawy.

Składniki:

- 10 dag świeżego korzenia imbiru,
- 2 cytryny,
- 10 dag cukru,
- 3 łyżki miodu,
- 0,75 l wódki 40%

Przyrządzenie:

Imbir umyć, obrać i pokroić w cienkie plasterki. Cytryny wyszorować, optukać, pokroić w ósemki, wrzucić do gąsiorka lub słoja i zalać wódką. Dodać cukier oraz miód, naczynie zamknąć i odstawić na 3 miesiące. Następnie nalewkę zlać do pustego słoja, starannie go zamknąć i odstawić w chłodne miejsce. Gdy nalewka ładnie się sklaruje, delikatnie zlać lub ściągnąć rurką przejrzysty płyn, a osad przefiltrować. Uzyskany klarowny alkohol potączyć z pozostałym, rozlać do butelek, zakorkować je i pozwoić nalewce dojrzewać w chłodnym miejscu co najmniej 3 miesiące.

JAŁOWCÓWKA

GROTMAMA

Owoce jałowca zimą uzyskują pełną dojrzałość (styczeń/luty). Zbieramy je kiedy mają ciemnogrnatowe lub czarne owoce pokryte sinawym nalotem. Nalewka jałowcowa pomaga przy wielu problemach żołądkowych.

Składniki:

- 2 l wódki 40%
- 12 g świeżych jagód jałowcowych
- 1 g anyżu
- 1 g kolendry
- 1 g goździków
- 1 płaska łyżka deserowa cukru

Przyrządzenie:

Wódkę wlać do gąsiorka. Dodać utłuczone w moździerzu pozostałe składniki. Dosypać cukier. Gąsiorkiem silnie potrząsnąć, zakorkować go i pozostawić w spokoju na 3 tygodnie.

Po tym okresie przecedzić przez płótno, zlać do butelek.

PIOŁUNÓWKA 1

GROTMAMA

W Polsce okres kwitnienia bylicy piołunowej przypada w drugiej połowie kwietnia – właśnie wtedy powinno się ją zbierać.

Nalewka na piołunie jest doskonałym sposobem na oczyszczenie organizmu bądź uregulowanie procesów trawiennych. Dodatkowo nalewka piołunowa wykazuje wysokie zastosowanie lecznicze, ale też likwiduje uczucie sytości po obfitym posiłku.

Składniki:

- 0,5 litra wódki 50%
- 2 łyżeczki suszonego piołunu
- 2 łyżeczki anyżu całego
- 1/2 łyżeczki nasion kopru
- 4 łyżeczki kardamonu
- 1 łyżki majeranku
- 1/2 łyżeczki mielonej kolendry
- 2 łyżeczki siekanego korzenia arcydzięgla
- 1 i 2/3 filiżanki syropu z cukru (zagotuj cukier z wodą pół na pół i odparuj)

Przyrządzenie:

Przelej wódkę do dużego słoja ze szczelną pokrywką. Dodaj piołun i wstrząśnij; mocz przez 48 godzin i przecedź. Utłucz całe przyprawy w moździerzu. Dodaj wszystkie zioła do wódki i przechowuj w ciepłym miejscu przez tydzień. Przędź i dosłódź syropem.





SPRAWY PRZESZŁE I PRZYSZŁE

fot. Gabriela Woźniak

EPILOG

TED RACHOWSKI

Epilog warsztatu Dyskusyjnego pt. „Praca Atrakcyjna”.

W trakcie Obozu Remontowego Otrytczyków „Kliskówka”, w piątek, 20 sierpnia 2021 r, odbył się kolejny Dialog Otrycki – pod szyldem Samorządnej Akademii Otryckiej (SAO).

Celem tego Warsztatu, było zainteresowanie uczestników Obozu tematyką tak zwanej Pracy Atrakcyjnej, którą 200 lat temu odkrył i rozpropagował Karol Fourier, w swoich traktatach prognostycznych. Albowiem koncepcja Pracy Atrakcyjnej słynnego Fouriera wykazuje wielkie pokrewieństwo, a nawet genetyczne bliźniactwo, do współczesnej Kultury Otryckiej - czyli do Otryckiego Sposobu Produkcji. Którego wzór został w zeszłym roku uwidoczniiony na Słupie Dydaktycznym, obwieszonym otryckim złotem wykopaliskowym. (To jest pół roku przed odnalezieniem znakomitych prognoz Fouriera.)

O ile mnie pamięć nie myli, nasz Dialog Otrycki w Sali Kominkowej miał niezłą dramaturgię, wywołaną znaczną różnicą poglądów wśród uczestników naszego Obozu. Miał także nieplanowany element prognostyczny, gdy w połowie tegoż Dialogu, musieliśmy zrobić nagłą przerwę techniczną w toku gorących polemik. Otóż w czasie tej przerwy, gdy Salę Kominkową opuściła większość uczestników naszej dyskusji, usłyszałem komentarz, prognozujący skutki owej przerwy (cytuję bez autoryzacji): „Jak widać, całe Towarzystwo r o z p r o s z y ł o się po Chacie i już nie wróci.” (Jednak kilkoro uczestników trwało dzielnie na swoich miejscach.)

Zrozumiałem, że oto właśnie nastąpiła piękna katastrofa frekwencyjna pierwszego warsztatu dyskusyjnego „Praca Atrakcyjna”.

Byłem jednak ciekaw poglądów i opinii tych, którzy pozostali w Sali Kominkowej. Dlatego, mimo dużej absencji, postanowiłem kontynuować swą opowieść o tym, jak fourierowska Praca Atrakcyjna stała się moim największym hobby; by przejść do dyskusji o pokrewieństwie między prognozą Fouriera z początków XIX wieku, a Otrycką Kulturą Produkcji z XXI stulecia.

Ku mojemu zdumieniu, po rozpoczęciu drugiej części Warsztatu, prawie wszyscy uczestnicy pierwszej części wrócili do Sali Kominkowej. Co może oznaczać, iż obszar Pracy Atrakcyjnej ma w sobie znaczny potencjał atrakcji. Zatem, opisując, jak dokopałem się do zapomnianych prognoz Fouriera, wspomniałem o kluczowej roli znakomitego tekstu Waldka Dymarczyka pt. „Gdzie wasz Komandir?”; zamieszczonego w Biuletynie Otryckim nr 38/2009 r. Bo tu dostrzegłem pierwsze przeciwieństwo między oficcerską Kulturą Komandirów a współczesną Kulturą Otrytczyków. Dzięki temu mogłem zacząć poszukiwanie reszty przeciwieństw - podążając po nitce do kłębka. Z pomocą Biuletynów Otryckich.

Kolejne numery Biuletynu Otryckiego ujawniły bowiem totalne przeciwieństwo między Otryckim Systemem Produkcji – a Fayolowskim Systemem Pracy. Po stronie Otrytu dostrzegłem systemową integrację wszelkich prac przyjacielskiego, braterskiego zespołu: planowania, organizowania, wytwarzania i doskonalenia. Po stronie Fayola ujrzałem zasadę oficcerskiego rozkazodawstwa, hierarchii, dominacji i dyscyplinowania ludzi, a przede wszystkim systemowe rozdarcie procesu pracy na 2 obce, odseparowane od siebie składniki pracy produkcyjnej: 1.) czynności obie-

rania ziemniaków przez sponiewieranych rekrutów i 2.) czynności czysto oficcerskie/ menedżerskie: dyscyplinowanie rekrutów i organizowanie prac „obierackich”. Odseparowanie czynności fizycznych od czynności oralno-mózgowych.

Powyższe przeciwieństwa, odnalezione prostymi metodami Sherlocka Holmesa i Ariadny z Knossos, czyli po nitce do kłębka, zaprowadziły mnie w końcu do wyjścia z Labiryntu Republikańskiego: czyli wprost do słynnych prognoz Karola Fouriera; do Znaczący ewolucji procesu ludzkiej pracy. Dzięki temu, w Sali Kominkowej ujawniliśmy wspólnie 6 kluczowych zasad Pracy Atrakcyjnej czyli systemowych zasad Kultury Otryckiej: 1./ przyjacielskie stowarzyszenie; 2./ konsensus/jednomyślność; 3./ motywację wewnętrzną; 4./ integrację

czynności fizycznych i umysłowych w bratnim zespole roboczym; 5./ praktykę wyboru rodzaju pracy przez Otrytczyka; 6./ harmonijność - systemową spójność prostych zasad Otryckich.

Sześć pozostałych zasad Dekalogu Pracy Atrakcyjnej, pozostawionych uczestnikom Warsztatu Dyskusyjnego do zespołowej identyfikacji, (po zakończeniu Warsztatu), to: 7./ wspólna-powszechna narada z udziałem wszystkich zainteresowanych; 8./ współporządne decyzje; 9./ gwarantyzm – godziwe warunki życia i gwarancja pracy dla wszystkich; 10./wspólna wytwórczość i konsumpcja; 11./ zmienność zadań i zapał-entuzjizm; 12./ samodoskonalenie i samokształcenie zespołowe - dzielenie się wiedzą i praktyką.

ATRAKCYJNE DRUŻYNY GASTRYCZNE

TED RACHOWSKI

Od pewnego czasu chodzą mi po głowie pomysły, dotyczące rozwiązania problemu obozowego, który zgłosiła Ewa Lewicka kilka tygodni temu: trudności w tworzeniu Wacht Gastronomicznych wytwarzających atrakcyjne kulinaria w Kuchni Otryckiej - na tegorocznym Obozie Budowlanym „Kliskówka.”

Na razie nie proponuję gotowego, szczegółowego rozwiązania, tylko pragnę tu podrzucić do dyskusji Kierunek Rozwiązania, który wydaje się być owocny w przyszłości, to jest w przyszłym roku, na Drugim Obozie „Kliskówka”.

Sądzę, że powinniśmy już dzisiaj rozpocząć atrakcyjne Prace Planistyczne i Organizacyjne w Tym Zakresie.

Co to oznacza? Otóż to, że już w listopadzie 2021 warto byłoby dobrać się swobodnie w Wachtowe Zespoły Przyjacielskie, na przyszłoroczny Obóz Remontowy. Co byłoby zgodne ze starą Kulturą Otrycką i zasadą Pracy Atrakcyjnej; opisaną przez Karola Fouriera 200 lat temu.

Gdybyśmy już dziś, to jest w listopadzie 2021 dobrali się swobodnie, drogą samorganizacji, w Przyszłoroczne Drużyny Gastryczne, na okres 2022, miałyby to co najmniej kilkanaście zalet:

1. Wiemy, kto już dziś wybiera się na Obóz Remontowy w 2022 roku.
2. Możemy wcześniej przygotowywać dzienne jadłospisy na 14 dni i dyskutować nad nimi.

3. Możemy pod te jadłospisy sporządzić przyszłoroczny plan zakupów środków żywności.
4. Każda drużyna wcześniej monitoruje stan magazynu żywnościowego, zanim obejmie Wachtę.
5. Każda drużyna przygotowuje jadłospisy takie, w których osiąga mistrzostwo osobiste.
6. Wszystkie drużyny mogą wcześniej koordynować jadłospis, aby rzadko się powtarzał.
7. Większa integracja drużynowa Obozowiczów.
8. Wiemy wcześniej w przybliżeniu jakie potrzebujemy finanse na zakupy.
9. Mamy bazę informacji do ustanowienia Otryckich Standardów żywienia (dla 10 i 20 osób).
10. Mamy szansę zaangażować do atrakcyjnej produkcji kulinarnej – w większym zakresie niż dotychczas – kilka nowych drużyn wytwórczych płci męskiej lub mieszanej. Itd. itd. itd.

A najważniejsze, (według mnie) że w ten sposób realizujemy świadomie Praktykę Pracy Atrakcyjnej – czyli dobieramy się w Mafie Zespoły PRZYJACIELSKIE. Spijając wszelkie nektary Otryckiej Atrakcyjności.

Albowiem, w II tygodniu Obozu'2021 – mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem Wachty Z Łapanki. Co według mnie jest zaprzeczeniem Pracy Atrakcyjnej. Więc generuje negatywne skutki uboczne: brak zgrania w zespołach produkcyjnych, przykre „niespodzianki” w magazynie żywności, nagłe spięcia w trakcie prac kuchennych, niższa jakość produkcji gastronomicznej, brak doskonalenia środowiska pracy, itd. itd. itd.

Może warto stale udoskonalać Kulturę Otrycką, właśnie w kierunku Pracy Atrakcyjnej na Otrycie: Planami Gastronomicznymi, Organizacyjnymi i Finansowymi, czynionymi systemowo najpierw na Nizinach.

Proponuję rozpoczęcie twórczej dyskusji.

REMONTY W CHACIE

ANDRZEJ GRĄDZKI

STUDNIA

Na „Otryckie Dyskusje” w dniu 11.10.2021 r. nadeszła następująca wiadomość:

„Witam wszystkich, z prawdziwą przyjemnością informuję, że wczoraj został zapuszczony do studni czujnik hydrostatyczny. Mamy jak widać pewien poślizg czasowy (i najdroższa) jest już na Otrycie i zanurzona jest w wodzie. Czekamy jeszcze tylko na dedykowany interfejs i pomiary ruszą. W załączniku kilka fotek.”

Skąd w ogóle pomysł zamontowania urządzeń monitorujących w studni? Przede wszystkim z pewnej zauważalnej niefrasobliwości wykorzystania tego przyrodniczego zasobu. Można by rzec – ale to nic

straszego, przecież cała ludzkość niefrasobliwie traktuje zasoby naturalne, coś więc taka sobie studnia, z której cały czas od kilku lat pompuje się wodę i ta woda cały czas jest. A skoro jest, to będzie. Otóż nie!

Gdy jakieś ponad dwa lata temu chciałem się czegoś więcej dowiedzieć o studni to najpierw nie usłyszałem niczego, potem Baltazar znalazł zdjęcia z wiercenia a później dostałem trzy kartki, z których jedna zawierała istotne informacje ale też nie wszystkie. Po wykonaniu odwiertu zachował się (na szczęście) schemat konstrukcji studni oraz dane techniczne pompy. Ponadto latem 2019 r. wykonaliśmy przy pomocy świstawki hydrogeologicznej pomiar statycznego lustra wody. Studniarze zapewne wykonali pomiar lustra

fot. Agnieszka Karpowicz, Ewa Lewicka, 2021



fot. Andrzej Grądzki, 2021

dynamicznego lub w jakiś sposób rejestrowali wydatek ale tych danych nie znamy. Dzięki ustalenia poziomu lustra można było łatwo policzyć ile wody jest w studni, mało jej jest, ok. 180 litrów a przecież pompujemy więcej przy napełnianiu baniaków. Słyszałem też o „akcji” w trakcie której wypompowano ogromną ilość wody. Wniosek: woda z pokładu szybko, wręcz błyskawicznie uzupełnia wodę wypompowaną na powierzchnię. To dobra wiadomość.

Woda z warstwy wodonośnej napływa do otworu studni przez obsypkę pełniącą rolę filtra. Nie wiemy kiedy to się stanie ale być może studnia będzie wymagała wymiany filtra gdy stanie się nieco mniej przepuszczalny. Dzięki czujnikowi dowiemy się o tym wcześniej.

Jak wyżej wspomniano, wody w samej studni jest bardzo mało i jeśli zdarzą się zakłócenia w dopływie to pompa po prostu stanie. Na zawsze. Spali się albo zatrze. Czujnik zabezpieczy pompę przed awarią – po prostu wyłączy ją w stosownym momencie, zabezpieczy przed „suchobiegiem”.

I na koniec - mała ilość opadów a przecież to opady właśnie uzupełniają wodę w odpowiednich warstwach. Nie wiadomo w jakim czasie woda z powierzchni przenika do warstw wodonośnych a więc nie wiadomo kiedy ujawnią się niedobory. Może się to stać choćby jutro. Występujące obecnie opady to przede wszystkim nawałnice przedzielane długimi okresami suszy. Takie deszcze powodują szybki przybór wód w rzekach i erozję górskich zboczy ale nie gruntowne uzupełnienie wód zbiornikowych. Rok 2021 wydaje się być raczej dobry ale poczekajmy jeszcze na dane IMiGW.

CZWARTY ROZBIÓR KUCHNI

Może nie tyle rozbiór co remont i nie całej kuchni lecz tylko pieca kuchennego. Według Gospodarza jest to nie ostatni remont a niepokojąco duża częstotliwość prac naprawczych pieca nie zmieni się, dopóki nie będzie podstemplowany od dołu w biskupinie.

A przy okazji – należałoby chyba bliżej przyjrzeć się funkcjonowaniu kuchni. Pomieszczenie to jest samo w sobie ciemne a wieczorem czy nawet późnym popołudniem światła bardzo tam brakuje – mimo świeczek, czołówek itp. Chyba dobrze byłoby pomyśleć o dobrym oświetleniu przynajmniej płyty kuchennej, jakieś próby polepszenia tego stanu rzeczy już były czynione.

Także poprawa stanu sanitarno-higienicznego. W grupie Otryckie Dyskusje problem był rozważany i – zgodnie z nazwą grupy – dyskutowany. Wniosek jest taki – kuchnię należy się zająć.



KOLEJNA PODRÓŻ W KOLEJNY ŚWIAT

EWA LEWICKA, ANDRZEJ GRĄDZKI

fot. Bartek Banaszak, 2021



9 grudnia ubiegłego roku kilkoro otryt-czyków zbiegło się na hasło „Malutki gra koncert”. Byliśmy tam w składzie Andrzej Grądzki, Ewa Lewicka, Bartek Banaszak, Gabi Woźniak, Iza Gutowska i Krzysztof Bogusz. Tym razem mała salka na Żoliborzu. W podobnym składzie bywamy na koncertach Malutkiego od lat. Henio Kliszko też na nie przychodził. Obecni czytelnicy Biuletynu Otryckiego, zwłaszcza młodzi, mogą nie rozumieć o co nam chodzi z tym „Malutkim”, więc służymy wyjaśnieniami.

Muzyka na Otrycie ciągle nam towarzyszy. To ważny składnik naszej „wspólnotowej chemii”. „Malutki”, czyli Marek Parzydło to naszym zdaniem najlepszy gitarzysta i wokalista otrycki wszech czasów, bardzo utalentowany i wszechstronny. W latach 80-tych najlepsze zbiorowe wykonania repertuaru znanego Wam ze Śpiewnika Otryckiego odbywały się z jego i jego żony „Maliny” udziałem. Repertuar turystyczny, poetycki, ale i rockowy. Śpiewano piosenki Belwita, Brassensa, Dżemu, Lady Pank, Perfektu, Cohena. To wszystko weszło do naszego śpiewnika właśnie wtedy.

Markowi towarzyszyło kilka muzycznych osób i Chata dudniła od wykonywanego na kilkanaście głosów śpiewu. Dlatego wspomniemy to z sentymentem. Pierwszy koncert poza Otrytem przyniósł nagrany dla potomnych płytę Malutki & Friends.

We wspomnieniach Andrzeja zapisało się to tak: grupa w składzie: Marek „Malutki” Parzydło, Joanna Pawlik, Andrzej Pawlik i Jarosław „Jarecki” Frąckowiak zagrała koncert w Narolu w kinie „Tanew” w grudniu 1989 r. Były to właściwie dwa koncerty dzień po dniu i sala za każdym razem była pełna. Nagranie pochodzi z kasyety magnetofonowej a Czarek Dołbeń obrobił je, wyczyścił i zdigitalizował.

Zadziwiająco! Ten koncert jest tam pamiętany do dzisiaj, a po z górą trzech dekadach śpiewany jest ich repertuar. Potem w Narolu odbyło się bardzo wiele różnego rodzaju imprez, pojawiały się bardzo znane z estrady postaci. Ale występ otryckiej grupy, zostawił ślad trwalszy niż można było sobie to wyobrazić przed trzydziestu laty. Otryt na Roztoczu?

fot. Bartek Banaszak, 2021
fot. nieznan, ok. 1987

Malutki wszedł na Otryt w roku 1985 jako student socjologii (obóz zerówkowy) i bywał tam do końca lat osiemdziesiątych. W roku 1989 był ostatnim w czasach komuny Prezesem Klubu Otryckiego. Potem jeszcze organizował Zjazd Sentymentalny i był założycielem tzw. Grupy Trzymającej Gonty, która zasponsorowała i położyła w roku 2005 gonty na dachu nowej Chaty Socjologa. Od tamtej pory Marek nie bywa na Otrycie.

Przez dwadzieścia lat Malutki pracował w dużych korporacjach, także międzynarodowych. Od 2015 roku prowadzi z żoną Maliną własną firmę doradczą i szkoleniową. To zupełnie inny świat od tego otryckiego. Ale Malutkiemu muzyka nie wyparowała z głowy i serca.

Od wielu lat gra z przyjaciółmi w zespołach o zmieniającym się składzie. Wynajmują jakiś lokal w Warszawie i zapraszają starych znajomych na swoje koncerty. Ich repertuar ewoluuje. To co grają obecnie to blues & soul. Marek i Karin (wokalistka zespołu i zarazem klawiszowiczka) sami piszą wykonywaną przez siebie muzykę i teksty piosenek. Dużo tu poetyckich wolniejszych kawałków i zaraz potem ostry blues z pazurem. Oboje z Andrzejem uwielbiamy te koncerty. Może z czasem inni otrytscy będą z nami na nie wpadać. Obecny zespół nosi nazwę „The Lonebirds”. Marzy nam się jakiś koncert wykonany przez nich w ramach obchodów półwiecza ruchu otryckiego. Poniżej kilka fotek z tego wydarzenia. A dla porównania młody Malutki na Otrycie.
- Ewa

„Malutki jest wielki” – powiedział urodzony solenizant (a nawet współsolenizant) siedzący po drugiej stronie stołu. Chata, kolejna godzina imprezy urodzinowej i do rana zostało jeszcze kilka godzin. Który rok? A któż to pamięta, minęło lat bardzo wiele od tamtej imprezy i od wielu innych z udziałem Malutkiego.

Wielki Malutki... W okresie jego największej aktywności otryckiej Chata była najbardziej chyba „rozśpiewana” w całej swojej historii a to dzięki Malutkiemu właśnie oraz innym gitarzystom, bywalcom, klubowiczom. Zadziwiająco ale wydawało się, jakby wszyscy znali cały, skądinąd bogaty repertuar wykonywanych wówczas na Otrycie piosenek, pamiętali słowa od początku do końca każdego utworu. I to może być prawda.

Chyba można mnie nazwać fanem Marka Parzydła, przyjeżdżam na jego występy zawsze gdy tylko jest to możliwe. Podziwiam Marka i bardzo sobie cenię możliwość usłyszenia go i zobaczenia. On naprawdę jest coraz lepszy, podoba mi się to co gra. Pamiętam coś jednak, co zresztą trudno nazwać pamiętaniem - „słyszę” niekiedy to właśnie, przez Marka kiedyś wyśpiewane:

...wierzymy w byle co, by nie czuć...

fraza, która nader często mi towarzyszy.
- Andrzej



„CZEMU TE RZECZY SIĘ NIE DZIEJĄ?”

JAKUB JAKUBOWSKI (JJ)

W 39 Biuletynie Otryckim, poświęconym w znacznej mierze wspomnieniom dotyczącym Henryka Kliszki, znalazł się tekst autorstwa Ewy Lewickiej pt.: „relacja z pobytu na Otrycie Czy można wejść dwa razy do tej samej rzeki?”. Pojawił się w nim fragment stanowiący jedną z dwóch inspiracji do napisania niniejszego tekstu, a mianowicie:

„Innymi słowy, gdyby »dziadkowie« i »wnuczki« zechcieli stworzyć coś razem, to byłby to dom dla jednych i drugich, ale biologia sprawia, że młodzi i tak to niedługo »odziedziczają«.”

Wybrzmiewa z niego piękna idea połączenia, we wspólnym wysiłku na rzecz wspólnego celu, kręgu inicjatorów jak i szeroko pojętych nowych sympatyków. Brzmi to oczywiście wspaniale i nie mam wątpliwości co do tego, że byłoby to bardzo pożyteczne, zwłaszcza wobec wszelakich wyzwań stojących obecnie przed... no właśnie przed kim? Z naturalnych względów przychodzi na myśl określenia takie jak: „przed Klubem Otryckim”, „przed bywalcami Chaty Socjologa”, „przed ruchem otryckim”. Przed kimś/czymś jeszcze może? Ciężko powiedzieć.

Wiem natomiast, że w optyce osoby która w środowisku otryckim i na górze bywa od względnie niedawna, tj. od 2009 roku – rozstrzygnięcie tego czym/kim jest szeroko pojęty „Otryt” jest w zasadzie niemożliwe i to mimo mojego członkostwa w Klubie Otryckim oraz w Radzie Otryckiej. Do tej pory wspominam wyprawę z 2009 roku, z udziałem Marka Grotowskiego „Grotka”, Macieja Bartosiaka „Białego” i Mariusza Twardowskiego „Komisarza”, którzy mi, osobie jadącej na Otryt pierwszy raz, opo-

wiadali całą drogę z Warszawy do Lutowisk o historii i istocie „środowiska otryckiego”. Zapadło mi to w pamięć, ale jak się okazało przez lata rzeczywistość rozminęła się z ideą.

Anegdota, jaką opowiadają sobie historycy filozofii głosi, że ostatnim człowiekiem, który wiedział wszystko, był Gottfried Wilhelm Leibniz, do którego mi niewątpliwie daleko, w związku z czym swój brak wiedzy w zakresie identyfikacji różnych grup ludzi orbitujących wokół Otrytu traktuję jako naturalną kolej rzeczy, albo przynajmniej nic niezwykłego. W końcu niemal każda osoba (w tym zwłaszcza osoby o dłuższym stażu niż ja), na pytanie czym jest środowisko otryckie, odpowiada inaczej.

Wracając zatem do założenia, że różne grupy mogłyby się połączyć i stworzyć coś razem, uważam że warto tę piękną ideę poprzedzić szeregiem czynności, które pozwoliłyby wszystkim skorzystać na tym w możliwie jak największym stopniu. Czynności te postaram się dla ułatwienia wylistować w dalszej części tekstu, tak by stały się planem działania. Niemniej jednak trzeba to poprzedzić pewnym wyjaśnieniem by stało się jasne, skąd te postulaty się biorą i do czego zmierzają. Przyjmijmy zatem roboczo, że w kwestii wyzwań i problemów do rozwiązania, stoją one przed: (1) środowiskiem założycieli/inicjatorów, (2) Klubem Otryckim, (3) częstymi bywalcami Chaty Socjologa innymi niż ci wymienieni w pkt (1) i (2). Wyzwania te, związane są z zagospodarowaniem przestrzeni na górze Otryt oraz z przygotowywaniem „oferty” intelektualnej i artystycznej w ramach działalności „domu pracy twórczej”. W dalszej części

tekstu będę się posługiwał pojęciem „środowiska otryckiego”, które definiuje jako osoby zawierające się w zbiorach (1), (2) oraz (3) łącznie.

Identyfikując wyzwania jakie stoją przed wymienionymi wyżej grupami należy opisać jaki mamy obecnie stan faktyczny. Budynek zakwaterowania turystycznego – dom pracy twórczej Chaty Socjologa na gruncie posadowionym na paśmie górskim Otryt, w gminie Lutowiska, na terenie Nadleśnictwa Lutowiska. Jest drugą wersją Chaty, gdyż pierwsza została zniszczona w wyniku pożaru. Kilkadziesiąt lat funkcjonowania „środowiska Otryckiego”, dwie chaty, jedno miejsce. Wydawać by się mogło, po wielu dekadach, po odbudowaniu Chaty, inicjatywach zmierzających do dokonania remontów czy rekonstrukcji różnych elementów infrastruktury – że nastął czas upragnionej emerytury środowiska otryckiego. Czas na leżaczek, słoneczko i widok na połoniny. Przecież tyle już zostało zrobione... Mnóstwo wysiłku fizycznego, wydanych środków finansowych itd. Chata dalej istnieje, więc w czym problem?

W mojej ocenie między innymi w tym, iż w czytanych przeze mnie wspomnieniach, relacjach, felietonach w Biuletynie Otryckim, przebija rozumienie wyzwań stojących przed „środowiskiem otryckim” jako wyzwań o charakterze bądź intelektualnym („akademickim”), bądź towarzyskim (np. zgrzytów międzypokoleniowych, o których pisał Jan Herman (Biuletyn Otrycki nr 40). Nie dostrzegłem (jeżeli przeoczyłem to mea culpa) nigdy rozważań na temat tego, czy „środowisko otryckie” w ogóle będzie miało gdzie te spory międzypokoleniowe prowadzić, czy będzie miało to środowisko gdzie pić? A jest to jak się okazuje temat kluczowy stanowiący nawet kanwę licznych metafor, chociażby we wspomnianym tekście Jana Hermana, tak jak na przykład w tym fragmencie:

„(...) 50-lecie Chaty połączone z »na-bożeństwem ku czci« właśnie zmarłe-

go założyciela – stanie się okazją do ostatecznego przeniesienia akcentów Chaty Socjologa z wina na spirytualia, z formuły »domu pracy twórczej« na formułę »bazy turystycznej«.”

Mam bardzo dużo wątpliwości czy ten artykuł, dzielący ludzi na pijaną w sztok młodzież odartą z jakichkolwiek walorów intelektualnych oraz na dionizysjko-atenską koterię inteligencji bujającą w obłokach samo zachwyty, która jest w jakiś tajemniczy sposób deprecjonowana i wypychana z Otrytu – nie jest, aby satyrą. Być może odebrałem go zbyt dosłownie.

Są owszem spotkania, wyjazdy grupowe i odbywające się na nich pogadanki, ale ciężko to nazwać aktywnością akademicką, chyba że rozumianą jako wyjazdy integracyjne osób posiadających status studenta lub wykładowcy. Zostaje nam zbiór tych którzy nie należą do Klubu Otryckiego ani do grona założycieli, inicjatorów. W tej grupie, faktycznie zdarzają się przypadkowe osoby które zajrzą do Chaty Socjologa przechodząc szlakiem, spodoba im się lub nie, porobią coś w ramach drobnych prac remontowych lub nie i pójdą dalej. Czasami są to studenci, czasami wykładowcy. Jednakże w ogóle populacji bywalców Chaty zauważalne jest, że te dwie grupy osób trafiają się częściej jako turyści w Chacie, ale nie z uwagi na jakąś ofertę intelektualną czy artystyczną, tylko z uwagi na uroki przyrody w paśmie Otrytu, symboliczną cenę za pobyt oraz odległość od zgiełku cywilizacji i bardziej „zadeptanych” szlaków takich jak np. te w Tatrach. Chyba jednak za dużo tego boskiego trunku poszło na spotkaniach akademickich w Chacie, ponieważ mówiąc krótko, na mapie Polski, Chata Socjologa nie jest punktem uznawanym za ani kuźnię kadr ani kuźnię wartości intelektualnych i oszukiwanie się że jest inaczej jest bardzo szkodliwe, bo utwierdza w przekonaniu oszukujących się, że istota problemu jest gdzieś poza „środowiskiem otryckim” – podczas gdy jest dokładnie odwrotnie.

Nie ma usystematyzowanego dziedzictwa „środowiska otryckiego”, nie ma publikacji, nie ma organizacji cyklicznych sympozjów i innych tego typu wydarzeń, które mogłyby uporządkować zgromadzoną wiedzę i ją propagować. Intelktualna strona orytu, czy też jego „akademicka” twarz, jest obecnie portretem trumiennym. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, aby uległo to zmianie.

Dramatyczne wizje, radykalna i negatywna ocena postawy niektórych środowisk itp., nie są to wszakże rzeczy konstruktywne, ja natomiast w swoim zamiarze chciałem przekazać moje spostrzeżenia dotyczące tego jak należy konstruktywnie podejść do rozwiązania problemów „środowiska otryckiego”. Mamy zatem rok 2022, pierwsza połowa lutego. Jaki jest stan rzeczy na górze Otryt? Jakie kluczowe wyzwania przed nami stoją? Bo na pewno nie jest to kwestia rozstrzygnięcia podnoszonych już uprzednio w biuletynie zagadnień takich jak wino czy wódka? Pieśni turystyczne czy staroruskie? Wyzwania są następujące (proszę się nie sugerować kolejnością):

1. aspekty prawne funkcjonowania Chaty Socjologa oraz Klubu Otryckiego jako stowarzyszenia,
2. aspekty ekonomiczne Klubu Otryckiego,
3. aspekty towarzyskie w Klubie Otryckim – w tym relacje członków Klubu wewnątrznie oraz członków Klubu względem osób z zewnątrz,
4. aspekty strategiczne z punktu widzenia perspektywy kilku najbliższych lat ze szczególnym uwzględnieniem planów aktywności na obchody 50-lecia „ruchu otryckiego”.

Dlaczego mowa tu wszędzie o Klubie Otryckim a nie o „środowisku otryckim”? Ponieważ Klub Otrycki jest materialnym substratem tego drugiego i jako taki znajduje się obecnie w procesie restrukturyzacji. To z kolei ma znaczenie dla tego czy „środowisko otryckie”, będzie otryckie czy

po prostu będzie środowiskiem, z uwagi na fakt, iż to właśnie Klub Otrycki jest obecnie gwarantem tego, że środowisko ma dokąd przyjeżdżać na Otrycie. Więc w tym sensie są to zagadnienia priorytetowe, ponieważ zapewnienie trwania „środowiska otryckiego” w dotychczasowym miejscu jest z jednej strony wysoko na liście priorytetów, po drugie było ostatnimi czasy zagrożone.

Nie ma tu miejsca na szczegółowe omówienie każdego aspektu, niemniej jednak warto nad paroma zagadnieniami się pochylić. Zaczynając od pkt. 1, muszę przyznać, że jestem nieco skonsternowany faktem, iż nikt nie stawiał głośno przez lata pytania czy gruntu, na którym toczą się spory o picie wina czy wódki dalej pozostanie w zarządzie Klubu czy nie? Jakoś to ewidentnie umykało szerszej zbiorowości do czasu aż Igor Czajka, nieoceniony człowiek-institucja pilnujący spraw Klubu Otryckiego od dekad, zwrócił się po zewnętrzną opinię prawną, między innymi w tym zakresie. Zapewnił tym samym przygotowanie rzetelnego opracowania na temat konieczności dokonania zmian w pewnych aspektach funkcjonowania Klubu (tak by było to lege artis), a z drugiej strony umożliwił przedłużenie dalszej działalności Klubu czy Chaty, na obecnym terenie, na kolejne dekady. Pozwolę sobie tu zacytować fragment z Jana Hermana (ponownie ten sam artykuł powołany wyżej): odnośnie Klubu Otryckiego „Tu królują formuły prawno-organizacyjne: wybory władz, zarządzanie Chatą. Atutem tej części środowiska jest sprawna odbudowa Chaty z pożogi po jej dramatycznym zniknięciu w pożarze.” Dodałbym nieskromnie, że atutem Klubu Otryckiego jest to, że oprócz utrzymywania infrastruktury i budynków na dzierżawionym gruncie przez dekady, zapewniło ostatnio możliwość „picia wina w kręgach akademickich”, na górze Otryt „po wsze czasy”. Coś co nie udało się wcześniej nikomu. Zatem to grono paskudnych „anty-akademickich” troglodytów może się jednak do czegoś nadać? Proszę o wyba-

czenie za mój karczemny humor.

Pominę pkt 2 i 4 (z uwagi na ograniczenie objętości) z powyższej listy a tematem aspektów towarzyskich zajmę się na koniec. Chciałem jednak na przykładzie, z jednej strony problemów w ustaleniu czym jest „środowisko otryckie”, z drugiej problemów z zintegrowaniem różnych podgrup, a po trzecie wylistowania realnych wyzwań (w opozycji do wydumanych wojen troglodycko-akademickich) – pokazać jak ciężko było i jest w dalszym ciągu zrealizować postulat Ewy Lewickiej. Dlaczego? Otóż dlatego, że:

- „środowisko otryckie” jest w stanie całkowitego bezwładu decyzyjnego oraz rozdrobnienia,
- brak jest jednolitego i wyczerpującego zidentyfikowania działań i przekucia ich w konkretne plany zadaniowe,
- brak jest wyznaczonych długofalowych celów strategicznych, kamieni milowych do których należałoby dążyć by kolejne wielkie projekty odznaczać jako zrealizowane,
- istnieją (w coraz mniejszym stopniu) niewielkie pod-grupki malkontentów w „środowisku otryckim” zmierzające do utrzymania status quo w działaniu Chaty, tj. by pozostała w zasadzie formą domku letniskowego w górach dla małej grupki wybrańców.

Wyzwania te można przewyciężyć, ale niewątpliwie wymaga to:

- zintegrowania i koordynacji działań tej części „środowiska otryckiego” spoza Klubu Otryckiego z Klubem Otryckim, tak by zapewnić legalność i trwałość proponowanych i wdrażanych rozwiązań (w tym prac budowlanych, ale nie tylko),
- zdefiniowania długofalowych celów „środowiska otryckiego” takich jak np. stworzenie prawdziwego wydawnictwa do celów publikacji „wartości intelektualnych” wypracowanych przez „środowisko otryckie” i zaproszonych gości, czy też na przykład porządne

zorganizowanie obchodów 50-lecia,

- ujednoczenie zasad zachowań i oczekiwanej aktywności członków „środowiska otryckiego”, w tym zasad panujących w Chacie Socjologa, na terenie dzierżawionym na górze Otryt i szerzej w „środowisku otryckim”.

Czemu te rzeczy się nie dzieją? W mojej ocenie głównie dlatego w jaki sposób (oddolny, spontaniczny) powstawał ruch otrycki. Nie jest to bynajmniej zarzut, ale naturalną konsekwencją funkcjonowania, w formie „hipisowskiej” komuny akademików, (nie mam tego na myśli w żaden negatywny sposób) jest brak wykształcenia się sformalizowanej struktury zarządzania. W konsekwencji ujawnia się brak osób/organu/procedur – zdolnych do sprawnego, kompleksowego i definitywnego rozwiązywania problemów, zwłaszcza tych innych niż „wyzwania akademickie” czy bieżące kwestie remontowe.

Warto też dodać, że samo generowanie procedur i struktur jest pasją i fantazją zdegenerowanych, fanatycznych biurokratów rodem z poprzedniego słusnie (intelektualnie, moralnie i ekonomicznie) zbankrutowanego systemu. Nie to mam zatem na myśli. Przez tworzenie procedur czy ukonstytuowanie się odpowiednio wyposażonych w uprawnienia (np. na gruncie Stowarzyszenia Klub Otrycki) organów zmierzam do zaproponowania rozwiązania problemów obiektywnie stojących przed „środowiskiem otryckim”, takich jak, między innymi:

- kwestia obecności Chaty i „środowiska otryckiego” na górze Otryt (przypomnę, że 11 miesięcy dzieliło nas od konieczności eksmisji z góry Otryt wobec upływu okresu obowiązywania dotychczasowej umowy),
- kwestia prowadzenia działalności na górze Otryt (kwestie właściwej formy prawnej, kwestia obowiązków fiskalnych, kwestia obowiązków BHP oraz przeciwpożarowych itp.),
- kwestia akumulacji i zarządzania



majątkiem Klubu Otryckiego z którego mogą być finansowane w przyszłości realizacje celów.

Oprócz problemów obiektywnie stojących przed „środowiskiem otryckim”, doszły w okresie 2020-2022 do puli zagadnienia takie jak, zidentyfikowana grupa osób zmierzająca do przejęcia kontroli na Klubem Otryckim a w konsekwencji również nad Chatą i gruntem. Brak skoordynowanych działań i stanowczych kroków zapobiegających tym wydarzeniom doprowadziłby do ziszczenia się, że tak pozwolę sobie zażartować, najczarniejszych snów Jana Hermana względem poziomu towarzystwa w Chacie. Czy problem ten został zażegnany - pokaże czas - jednak na pewno procesy zabezpieczenia tego co jest jak sądzę materialnym substratem dziedzictwa „środowiska otryckiego” – czyli Chaty Socjologa - nie zostały jeszcze zakończone.

Podsumowując, jestem przekonany, że „środowisko otryckie” jest obecnie na etapie definiowania czym tak naprawdę samo w sobie jest. Towarzyszy temu identyfikowanie realnych i poważnych wyzwań do przezwyciężenia co wymaga zwiększenia wysiłku i koordynacji działań, jeżeli mają być to rozwiązania skuteczne i trwałe. To definiowanie jest szczególnie zauważalne w zakresie w jakim zmierzamy do 50-lecia ruchu otryckiego, a jednocześnie pożegnaliśmy ostatnio jednego z jego założycieli. Powstaje pytanie, jaki fundament zostanie wylany na przestrzeni najbliższego roku, pod budowę tego czym „środowisko otryckie” będzie przez kolejne 50 lat. Być może kuźnią kadr i krynicą wiedzy, domem pracy twórczej i ostoją dla zmęczonych wielkomięskim zgiełkiem artystów i intelektualistów. Być może nie. Ja jednak w dalszym ciągu wierzę, że jest jeszcze czas na zwiększenie zaangażowania, koordynację działań oraz usystematyzowane dążenie do stworzenia wyjątkowego miejsca i środowiska będącego żyznym gruntem do rozwoju artystycznego i intelektualnego.

W związku z powyższym proponuję, aby w terminie po najbliższym walnym zebraniu Klubu Otryckiego (czyli pewnie w okolicach czerwca 2022), zorganizowane zostało spotkanie w możliwie jak najszerszym gronie „środowiska otryckiego”, w ramach którego zgłoszone zostałyby projekty na najbliższe dwa lata, z uwzględnieniem motywu przewodniego obchodów 50-lecia, rozdysponowane zadania, wyznaczone terminy i wybrane osoby nadzorujące do doprowadzenia tych spraw do końca. Mam tu na myśli takie projekty jak na przykład:

1. Powołanie oficyny wydawniczej Klubu Otryckiego,
2. Przygotowanie szeregu publikacji okolicznościowych dotyczących ostatniego 50-lecia jako takiego, ostatniego 50-lecia w „środowisku otryckim” czy też o konkretnych postaciach zaangażowanych w środowisko w przeszłości.
3. Wyjazdowe wykłady młodzieży akademickiej na Otryt i ustanowienie ich jako cyklicznych wydarzeń.
4. Pozostały bieżący ogół prac remontowo-budowlanych ze szczególnym uwzględnieniem dokończenia Kliszkówki.

Ponadto, skoro prawo, administracja i regulaminy przyprawiają część „środowiska otryckiego” o odruch wymiotny, to być może warto też pomyśleć, oprócz o integracji również o dalej idącej specjalizacji podgrup w ramach środowiska, tak byśmy różniąc się nie spierali a uzupełniali, wiedzą, kompetencjami i poziomem zaangażowania. Niech zatem na przykład Klub Otrycki stanie się bazą a środowisko założycieli/inicjatorów – nadbudową. Dodam na marginesie, że nie mam tu na myśli porównań do kwestii budowlanych, stąd tylko pozornie brzmi to jak postawienie sprawy na głowie.

OSOBISTY RADOSNY KOMENTARZ

ANDRZEJ GRĄDZKI

Staram się nie być jak ta żaba w kuźni, ta obok konia, podstawiająca łapę do podkucia ale... tekst Jakuba to miód na moje serce a manifest jest nań w pewnym sensie odpowiedzią o tyle zabawną, że napisany został kilka miesięcy temu.

Czasami, częściej niż bym chciał, żałuję mojego powrotu ale nie mam żalu do Izy o namówienie mnie do uczestnictwa w obchodach 45-lecia. A gdyby nie pewne przypadkowe spotkanie, wkrótce potem, w Przemyślu, na „zebrze” na ulicy Jagiellońskiej... Było, minęło, kilka osób zna moje wątpliwości i niech to zostanie między nimi a mną.

Pod koniec listopada 2019 r. Malutki koncertował w „Piwnicy pod Harendą”. Spotkałem tam wtedy Ewę i spytałem ją, czy nie warto by pomyśleć o 50-leciu Chaty, no bo kto jak nie my a zwłaszcza ona. Oraz Henryk Kliszko, który także był na tym koncercie a potem pojechałem z nim na Ractawicką i przegadaliśmy wiele godzin, głównie o tym właśnie, o tej niezwyklej rocznicy.

Bardzo mnie ucieszył artykuł Jakuba, gdyż okazuje się, że jest to kolejna osoba mocno zainteresowana rokiem 2023. Jako osoba spoza Klubu Otryckiego (choć jakoś tam zakorzeniona w środowisku) nie mam zamiaru ani chęci diagnozowania obecnego stanu, identyfikuję się z szeroko rozumianym środowiskiem, natomiast zdumiewająco zbieżne intuicje oraz pomysły pogłębiają moją sympatię zarówno do tekstu jak i samego autora a także upewniają mnie w pewnych postanowieniach.

No cóż, trzeba będzie coś z tym zrobić.

JJ – DZIĘKUJĘ

MANIFEST ZIMOWY

Tekst poniżej miał początkowo nosić tytuł „Manifest Październikowy”, bo napisany został na przełomie lata i jesieni 2022 r. Po długim oczekiwaniu i pewnych wahaniach publikujemy go jako „Manifest Zimowy”. Ale – nazwa, tytuł są mało ważne wobec propozycji wynikającej z treści tekstu nazwanego – zapewne na wyrost i nazbyt patetycznie – manifestem.

Rok 2023 to rok pięćdziesięciolecia Chaty Socjologa na Otrycie - albo raczej z dużej litery – Pięćdziesięciolecia Chaty Socjologa.

Nie bez powodu piszemy to o rocznicowym roku, nie odnosimy się do konkretnej daty, budowa Chaty to nie tylko sam techniczny fakt, nawet rozciągnięty na dłuższy okres czasu, to przecież długi proces dochodzenia do sytuacji, w której to co mało prawdopodobne – stało się możliwe.

Chata więc to zmaterializowane marzenia – wiele marzeń, wielu osób.

Może więc i my pozwolimy sobie pomarzyć o tym, jak chcemy pożegnać pół wieku Chaty Socjologa na Otrycie i przywitać lata następne bo przecież nie zamkniemy Chaty na klucz, nie zabijemy okien deskami a terenu nie ogrodzimy płotem. Chata trwa, stoi – żyje.

PÓŁWIECZE. Słowo rzadko spotykane, trącające nieco archaizmem być może lepiej uświadamia że to, co zaczęło się w ostatniej ćwierci XX wieku funkcjonuje w pierwszej ćwierci wieku XXI.

Zatem PÓŁWIECZE CHATY SOCJOLOGA.

PÓŁWIECZE CHATY SOCJOLOGA proponujemy uczcić w sposób odmienny niż poprzednie okrągłe rocznice. Pięćdziesiąt lat istnienia tego wyjątkowego miejsca każe myśleć - co dalej. Skoro przetrwało pół wieku – to co dalej. Tyle się działo w ciągu tego długiego czasu – i co dalej?

PÓŁWIECZE CHATY SOCJOLOGA należy uczcić z myślą o przyszłości. Szanujmy wspomnienia jakie by nie były – mimo wszystko - i ulegajmy sentymentom nie wpadając zarazem w bezpłodne, bezżębne kombatantstwo. Oglądajmy się za siebie, bo warto ze względu na to wszystko, co działo się na Otrycie i w otryckim środowisku, przy budowie Chaty i przy jej odbudowie. Przyjrzyjmy się uważnie dorobkowi ale to przecież tylko i aż wiano dla przyszłości, swoisty posąg dla przyszłych ale i obecnych dzisiaj na Otrycie pokoleń.

Z tarasu Chaty, z polan otryckich połoniny wyglądają tak samo, jednak wiele zmieniło się w naszym otoczeniu, zmienia i będzie się zmieniać - nie zawsze na dobre. Chatę należy przygotować, Chatę należy zabezpieczyć, być może bronić. Wiele pozostało jeszcze do zrobienia. Coraz bardziej palący stanie się problem śmieci i wszelkiego innego paskudztwa jakie po sobie zostawiamy. Ktoś może zechce zastanowić się nad naszym otryckim śladem węglowym i zada sobie absurdalne z pozoru pytanie – czy ten ogień w kominku

nie mógłby zagrać lepiej. Wystarczy – nie mnożmy póki co problemów i pytań.

Pierwsze pomysły na obchody PÓŁWIECZA pojawiły się, jak się wydaje, całkiem niedługo po 45-leciu. Zaraz potem pandemia pomieszała szyki, zamroziła, odsunęła w niejasną przyszłość wszelkie możliwości planowania przyszłych obchodów.

Rok obchodów PÓŁWIECZA CHATY SOCJOLOGA to hasło ale pod nim powinno się kryć wyjątkowe wzmoczenie wysiłków. Już pojawiło się wiele pomysłów na podsumowanie 50-lecia i chyba nadszedł czas żeby je uruchomić.

Proponujemy rok 2022 poświęcić na przygotowanie całorocznych obchodów PÓŁWIECZA w roku 2023, oczywiście z jakimś godnym i spektakularnym finałem.

Nie proponujemy powołania jakiegoś formalnego organu mającego zająć się sprawami organizacji obchodów. Ale dobrze wiemy, że powinna się tym zająć grupa osób chętnych przede wszystkim i kompetentnych, osób doświadczonych i pełnych zapału, osób nie ukrywających swoich marzeń ale również takich, które będą umiały pozyskać środki na zrealizowanie naszych zamierzeń. Powinniśmy spośród siebie wyłonić grono tych najbardziej chętnych, zapalonych wręcz ale też osób doświadczonych np. w organizowaniu poprzednich rocznicowych imprez.

Rozmawiajmy póki co, dzielmy się swoimi pomysłami i oferujmy pomoc pomysłodawcom – każdy z osobna, każdy, kto ma taką wolę. Nie rozważajmy czy coś da się zrobić czy też nie – zastanawiamy się raczej jak zrealizować nasze pomysły i marzenia, z kim tego dokonać, jakie środki zaangażować.

Nie dyskutujemy o otryckości, o idei Otrytu itp., przyjmijmy pewne minimum – praca na rzecz Chaty to praca dla ludzi, którzy do niej przyjeżdżają – naszych przyjaciół i nieprzyjaciół, znajomych i przypadkowych nieznajomych, tych których kochamy i tych nie lubiących. Chata jest dla wszystkich i niech tak będzie zawsze.

„Otryt powstał nie z idei, ale z czynu, z wariackiego pomysłu, który dało się zrealizować”. (BO nr 14)

Niech zanikną międzypokoleniowe różnice, pokonajmy je. Nadal będziemy różnić się wiekiem i życiowym doświadczeniem, „stażem otryckim” i „otryckimi dokonaniem” ale świętując PÓŁWIECZE nie przypisujemy sobie pokoleniowych określeń na „Otryt młody” albo stary albo ten najstarszy.

Zróbmy to razem, wszyscy – klubowicze, przyszli klubowicze, byli członkowie klubu i nieklubowicze permanentni - otryczycy, otrycjanki, otrycjuszki i otrycjusze. Ludzie z Chaty Socjologa na Otrycie.

Andrzej Grądzki
Gabriela Woźniak
Jonasz Łygas
Ewa Lewicka
Ted Rachowski
Grzegorz Baltazar Kajdrowicz
Marek Grotowski
Piotr Kotowski



Aktualna sytuacja na Ukrainie dotyka nas wszystkich i nie możemy przejść obok niej obojętnie.

Przede wszystkim my - przyjaciele Chaty położonej w tak niewielkiej odległości od granicy. Nasze życie dużo się nie zmieniło, jednak dla naszych sąsiadów wywróciło się do góry nogami. Potrzebują oni naszej pomocy i będą jej potrzebować przez jeszcze długi czas. Każda, nawet najdrobniejsza chęć niesienia wsparcia się liczy.

Postanowiliśmy nie przekładać publikacji Biuletynu, natomiast zgromadzone środki z jego sprzedaży przekazać na pomoc wybranym rodzinom z Ukrainy. Wierzimy, że ten drobny gest, pomoże komuś w potrzebie.

*Dużo siły i wzajemnej
życzliwości życzą
Redaktorzy*



na Otrycie nawet droga do kibla
uśnana jest gwiazdami...

